Nr. 292. Lwów — Piątek dnia 23 Grudnia. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach i znalezionych przedmiotach i t. d. po 20 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. [illegible] ct.
w Niemczech „ 1 „ [illegible] „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
wiersz petitowy albo jego miejsce . . [illegible]
w „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem po . . . . . [illegible]
tłustym garmondem po . . . . . . [illegible]
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . [illegible]

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: Pt. | św. Wiktoryi P. | Danyiła
Jutro: So. | Wig. Ad. i Ewy | Spirydona

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 7 m. 57
Zachód „ 4 „ 3

Długość dnia g. 8 m. 6
Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 22 grudnia.

Z trybuny parlamentarnej powiedziano naresście we Francyi, o co chodzi w sprawie Dreyfusa, dlaczego ona tak rozamiętnia polityków i ogół ludności i dlaczego owo wszczęte przeszkadza zwykłemu biegowi procedury sądowej. Antysemita Lasies, mówiąc w imie deputowanych o postawie rządu w tej sprawie, rzekł: „W tej chwili walczą ze sobą dwa prądy", a ledwo wymówił te słowa, wnet zawołano z lewicy: „Republika i Kościół!" poczem na tej lewicy zerwała się burza oklasków. Lasies natychmiast odparł: „Nie, Kościół i synagoga!" — i znowu zahrzmiały oklaski, ale już z prawicy, z szeregów antysemickich i nacyonalistycznych.

A więc stwierdzono, że politykom i ogółowi ludności nie chodzi o samego Dreyfusa, lecz że oni są w wirze dwóch prądów, z których jeden streszcza się w wyrazie „Kościół", a drugi w wyrazie „Republika", a to znaczy tyle, co synagoga. Więc dreyfusyada jest tylko nowym rozdziałem długiej historyi, rozpoczętej we Francyi pamiętnym okrzykiem Gambetty: „Duchowieństwo katolickie — to wróg!" — poczem jako odpowiedź wnet powstał antysemityzm, którego przedtem nie było. Republika ta liczne potomstwo; srodzie ją Panamą, wilsonowski handel orderami, fabrykacyą dokumentów, wiele gezseftów, obliczonych na złupienie publicznego skarbu, wreszcie owe dwa wyznaniowe prądy.

Antysemityzmu Francya nie znała. Z państw zachodnich ona pierwsza, dekretem Zgromadzenia Narodowego z 27 września 1791 roku, zniosła wszystkie zgoła ograniczenia, którym podlegali żydzi w wiekach średnich i później aż do Ludwika XVI. Proklamowano wówczas, że wyznanie religijne nie może być przeszkodą do korzystania z pełni praw obywatelskich i nawet potępiono używanie dotąd nazwy „żyd", ponieważ przypomina ona jakieś obrażliwe znaczenie; odtąd w aktach publicznych wolno było nazywać wyznawców religii mojżeszowej izraelitami. Wprawdzie Napoleon I zmienił w żydom dokuczył, ale konstytucye z 1814 i 1830 roku przywróciły dekret Zgromadzenia Narodowego z 27 września 1791 r., a ustawa z r. 1831 zrównała duchowieństwo mojżeszowe w stosunku do państwa z każdem innem duchowieństwem chrześcijańskiem. Od tej chwili poczęły zacierać się różnice między żydami a chrześcijanami w stosunkach towarzyskich. Niebawem książęta De-Ligne, De-Wagram, De-Gramont, a za nimi margrabiowie i hrabiowie wprowadzili żydówki, jako swoje żony, do sfery arystokratycznej. O żydach, jako o jakiejś odrębnej warstwie, nikt nie miał pojęcia. I tak było aż do upadku Napoleona III. Zaraz potem do świeżo ogłoszonej republiki napłynęło dużo żydów z Niemiec, Austryi i Rosyi; przynieśli oni ze sobą niechęć do chrześcijan, a wnet uzyskawszy obywatelstwo francuskie, poczęli przy każdej sposobności dawać czynny wyraz swemu usposobieniu. Od nich napłynęły podniesli kwestyę świeckości (laïcisation) wszelkich instytucyi dobroczynnych i naukowych. Żyd włoski Gambetta dał hasło: „ksiądz — to wróg!" Ferry jako prezes gabinetu, wniósł do parlamentu ustawę antykościelną, której paragraf 7-y opiewał: „Bezwarunkowo zakazuje się osobom kongregacyi duchownych, a mianowicie Jezuitom, Dominikanom, Kapucynom i Franciszkanom wpływać w jakikolwiekbądź sposób na wychowanie młodzieży". Wprawdzie senat odrzucił tę ustawę, — i tu po raz pierwszy zaczęła się walka tej izby z izbą deputowanych, — ale gabinet Ferry'ego, powoławszy się na zapomniane przez wszystkie Zgromadzenia Narodowe i parlamenty postanowienie Ludwika XIV, wezwał wymienione wyżej zakony duchowne do rozwiązania się, albowiem według owego postanowienia tylko rząd może pozwolić na wspólne mieszkanie osobników jakiegokolwiek stowarzyszenia. Stała się rzecz dziwna: rząd republikański, mający co chwila na ustach hasła wielkiej rewolucyi, od której dla niego świat się zaczął, odwołał się do rozporządzenia despotycznego króla i wykonał je przemocą: w r. 1880 na wiosnę policyanci kolbami wybijali drzwi klasztorne i wyrzucali na bruk zakonników. Gdy wnet poruszono tę sprawę w parlamencie, wiekszość, do której przyczyli się wszyscy co do jednego żydzi, wyrazili rządowi zaufanie. Zaraz potem, zawsze za zgodą tej większości, wypędzono zakonnice ze szpitali, na uniwersytetach zniesiono katedry teologii katolickiej, we wszystkich szkołach państwowych przestano wykładać religię i nakazano nauczycielom nakłaniać uczniów, aby nie chodzili do kościołów, z sal wykładowych wyrzucono godła wiary chrześcijańskiej, wreszcie zawołany „księży pod karabin!" (Les curés — sac au dos!) uchwalono ustawę o braniu kleryków do służby wojskowej.

A z tej wojny, wydanej katolikom, zrodził się antysemityzm, jako naturalny odruch społeczeństwa, w większości katolickiego, odruch przeciw tym, którymi byli żydzi, przeważnie ci, którzy przybyli do Francyi po ogłoszeniu republiki. Na czele krucyaty przeciw Kościołowi stał wszechpotężny wówczas „obalacz gabinetów", a późniejszy zaufany agent Anglii, wódz radykałów i redaktor Clémenceau. Wina tej gromady zdemoralizowanych ludzi spadła na wszystkich żydów w całej Francyi i w Algierze. Wystąpił hałaśliwy, namiętny agitator antysemityzmu Drumond i odrazu znalazł grunt wyborach przygotowany. Co do tej chwili powstało we Francyi za działalnością masoneryi, to Drumond określił ściśle, powiedziawszy, że to jest skutek szydowienia Francyi. Zaczęła się głucha, a coraz namiętniejsza walka rządzącego stronnictwa ze społeczeństwem: rząd nakładał grzywny na duchowieństwo za procesye, pogrzeby publiczne z krzyżami, za ukazanie się na ulicach w komżach z Wiatykiem, za kazanie niemiłe prefektowi, — parafianie wnet płacili te grzywny. Powstały szkoły rządowe (écoles communes) bezpłatne i bezwyznaniowe, a obok nich natychmiast potężne wyrastały szkoły wolne (écoles libres) utrzymywane przez rodziców, a kierowane przez katolików. Tak ta głucha walka, trwając bez przerwy, wciąż się rozmiejętniała, znajdując ujście to w Panamie, w wielu innych podobnych sprawach, a wreszcie w procesie Dreyfusa. Tu ona dosięgła szczytu, bo nieszczęście chciało, że Dreyfus niestyko jest żydem, ale wnukiem koleńskiego żyda, emigrantem do Francyi po 1871, wojnie z Niemcami, człowiekiem, mówiącym po francusku z charakterystycznym akcentem. Ze zwykłą skłonnością agitatorów do uogólniania wypadków, powiedzieli antysemici, że z „nowi" Francuzi, ci emigranci po wojnie, są do zdrady skłonni, którzy nie czują krajn i narodu, więc precz z nimi. To była odpowiedź na hasło Gambetty. Powstało obok antysemitów stronnictwo nacyonalistów, którzy postawili sobie za zadanie oczyszczenie Francyi z wszystkich napływowych żywiołów. W ten sposób sprawa dreyfusowska mogła się stać nieszczęściem dla bardzo wielu ludzi, że dla wszystkich żydów francuskich. Trzeba więc było koniecznie wygrać tę sprawę, na niej pokazać narodowi, że antysemici są oszczercami, a nacyonaliści nie mają racyi bytu. Różne nieprawidłowości, popełnione przez trybunał wojskowy i ansa radykalno-socyalistyczna do wojska ułatwiły agitacyę za wznowieniem procesu. Przebieg tej walki jest znany. Zdaje się, że antysemitów czeka przegrana — i oto na ostatku odsłonili oni nazwę tej wojny, a na tę nazwę zgodzili się ich przeciwnicy. „To walka republiki z Kościołem!" — zawołała lewica. — „Kościoła z synagogą" — poprawili antysemici. I na tem stanęło. Więc można powiedzieć, że to jest dwudziestoletnia wojna, bo ją w r. 1879 otrąbił Gambetta. Czy się skończy razem ze sprawą Dreyfusa? Z pewnością nie, bo już jest antysemityzm i są nacyonaliści. Porażka, nawet zupełna tym razem przegrana im nie zaszkodzi, gdyż są to stronnictwa burzące, którym nic nie szkodzi.

W ostatni poniedziałek zdjęto sztandar francuski w Faszodzie, natomiast wywieszono tam dwie obok siebie flagi: angielską i egipską. Oddział komendanta Marchanda, konwojowany przez jazdę angielską, pomaszerował w stronę Abisynii doliną rzeki Sobat. Nie jest to jednak ostateczne załatwienie sprawy, która niedawno tak silnie zaostrzyła stosunki między Anglią a Francyą, bo niestylko spór o Faszodę pozostał nierozstrzygnięty, lecz jedynie za obopólną zgodą odłożony na pół roku, ale nadto wyłonił się inny powód do starcia. Mianowicie, Anglia chce, aby w Egipcie były zamknięte wszystkie szkoły francuskie, utrzymywane tam wprawdzie przez prywatne stowarzyszenia, lecz właśnie przez takie, które subwencyonuje rząd paryski. Francya dotąd odrzuca to angielskie żądanie na tej zasadzie, że i angielskie stowarzyszenia poczęły zakładać w Egipcie swoje szkoły i właśnie teraz, na wezwanie lorda Kitchenera, pogromcy derwiszów, powstało w Londynie stowarzyszenie imienia Gordona, które zakłada szkoły angielskie w Sudanie, przedewszystkiem zaś w mieście Chartumie; na te szkoły publiczność angielska odrazu, w ciągu dni dziesięciu, złożyła milion funtów szterlingów. Jednakże Francuzi niesłusznie powołują się na ten fakt, jako na racyę, dającą także im prawo utrzymywania szkół w Egipcie, bo — jakeśmy rzekli — te szkoły są subwencyonowane przez państwo, podczas gdy rząd angielski wcale się nie zajmuje anglizowaniem Egipcyan, czy Sudańczyków za pomocą szkół.

Roztrząsania.

Piszą nam z Wiednia, 20 grudnia:

Z ogłoszonych dotąd sprawozdań o ostatniej po części poufnej, walnej dyskusyi Koła polskiego o sytuacyi politycznej nie można sobie wprawdzie wytworzyć dokładnego obrazu ścierających się w Kole, względnie przeważających w niem poglądów. Jednakże ogólne wrażenie jest niewątpliwie to, że Koło należycie ocenia trudność położenia, a z pewnością nie grzeszy optymizmem.

Na końcu roku, jak na jego początku, aparat państwowy kołysze się pomiędzy obstrukcyą stronnictw niemieckich a paragrafem 14-tym. Nie potrzeba być ideologiem konstytucyonalizmu, aby zrozumieć, jak przykrą anomalię tworzą w wielkiem mocarstwie, w którem od 37 lat funkcyonował aparat parlamentarny, rządy za pomocą samych dekretów, zamiana w regułę tego, co § 14 konstytucyi przewidział jako rzadki wyjątek. Nie podobna przeczyć, jak bardzo ten zwrot osłabia powagę Austryi na zewnątrz. Zważywszy, że wszystkie zdobycze polityczne zawdzięczamy przedewszystkiem mądrej taktyce Koła w Radzie państwa, mianowicie w r. 1867 i przypominając sobie całkiem odmienny okres z lat 1849 do 1859, nie możemy też wcale być pewni, że ustalenie się metody rządowej pozaparlamentarnej, nie odbije się rychlej czy później niekorzystnie na naszych narodowych i krajowych prawach i potrzebach. Rzecz więc naturalna, że różni mówcy w ostatnich rozprawach Koła, podkreślali konieczność ograniczenia metody, opartej na § 14, i przywrócenia prawidłowej czynności parlamentarnej.

W całym roku, dobiegającym do końca, czynność parlamentarna była tylko pozorna. Trzy, czy cztery ustawy uchwalone, jako wyjątek stwierdzają tylko regułę. Parlament nie mógł uchwalić żadnego z prawdziwie ważnych projektów rządowych. Udaremniła to w roku bieżącym „przyzwoita" obstrukcya stronnictw niemieckich, jak w r. zeszłym przeszkodziła temu obstrukcya gwałtowna, „dzika". Nie podzielamy wcale zdania, które niedawno w liście otwartym wypowiedział hr. Juliusz Andrassy, a dziś w mowie niby to bardzo spokojnej, b. minister oświecenia br. Albin Csaky, że, aby usunąć obstrukcyę i przywrócić ład parlamentarny, należy „czem prędzej" dokonać zmiany gabinetu, a przynajmniej jego prezesa. Teorya taka nie tylko sprzeciwia się zasadniczym podstawom systemu parlamentarnego, według którego każdoczesny gabinet opiera się na zaufaniu korony i większości parlamentarnej, a nie może być zawisłym od kaprysu i woli mniejszości, ale nadto w Austryi fakta najdobitniej wykazały błędność tej teoryi. Zmiana bowiem gabinetu w grudniu roku zeszłego wcale nie udobruchała opozycyi. Tak samo dziś, chociaż skrajne żywioły opozycyjne i skrajne piśmidła à la *Zeit*, uderzają głównie w osobę hr. Thuna i jego „feodalne" przekonania; sama zmiana gabinetu nie zmieniłaby wcale postawy opozycyi, względnie obstrukcyi.

Prawidłową funkcyę parlamentu najbardziej utrudnia zawsze zbytek frakcyi parlamentarnych. W Anglii cały porządek parlamentarny spoczywa na tem, że udawało się zawsze podciągnąć obozy parlamentarne wyłącznie pod 2 mianowniki. Gdyby dziś w parlamencie austryackim istniało jeszcze wielkie stronnictwo niemieckie pod kierownictwem Plenera i Chlumeckiego, niezawodnie byłoby łatwo tak czy tak dojść do pewnego porozumienia i przywrócenia prawidłowej czynności parlamentu. Korespondent wasz zawsze na stosunki publiczne zapatrywał się ze stanowiska konserwatywnego. Właśnie dlatego nie mogliśmy nigdy zrozumieć, a tem mniej pochwalić akcyi, wymierzonej wyłącznie ku rozbiciu owego wielkiego stronnictwa liberalnego bez pewności, że na jego rozwalinach powstanie pomyślniejsza organizacya. Rozbicie dawnej zjednoczonej lewicy niemieckiej wprawdzie udało się świetniej niż się spodziewano. I cóż stąd wynikło? Tylko to, że jej mandatami podzielili się narodowcy niemieccy, frakcya Luegera i radykaliści kierunku Schönerera, tj. żywioły skrajne, pozbawione wszelkiego poczucia wyższych potrzeb państwowych, a nadto dla nas usposobione o wiele mniej przychylnie, niż dawne stronnictwo Plenera.

Dziś więc stosunki są znacznie trudniejsze, niż np. w roku 1891. Jednak nie podobna czekać, aż według recepty dra Steinwendera naresście z licytacyi o zdawkową popularność i mandaty powstanie znowu jakieś wielkie, solidarne stronnictwo niemieckie. Musimy się liczyć z faktem, że istnieje szereg frakcyi niemieckich, zdolnych obstrukcyą, mniejsza o to, czy mniej, czy więcej dziką, udaremnić prawidłową funkcyę parlamentu i przedłużyć z roku na rok rządy za pomocą § 14-go. Jest przeto rzeczą konieczną szukać środków zaradzenia złemu. Że nie zaradzi mu samo utrzymanie solidarności prawicy, o tem świadczy rok ubiegły. Uciekać się do jakichś zamachów stanu, oktrojowań etc., jakie zalecają radykalne dzienniki czeskie, znaczyłoby podpalić gmach, aby wypłoszyć szczury. Trzeba więc szukać drogi układów, nie kończących się żadną kapitulacyą, ale wiodących do zawieszenia broni. Jeżeli świeżo sędziwy dr. Rieger, pomimo zaciętej walki niemiecko-czeskiej, mógł tak głośno podnieść konieczność porozumienia się Czechów z Niemcami, trudno zrozumieć, dlaczego my Polacy, nie zmuszeni staczać żadnej walki narodowościowej z Niemcami austryackimi, nie mielibyśmy prawa tem dobitniej przemawiać za takiem porozumieniem się?

W każdym razie zaznacza się wielce pożądane wytrzeźwienie. Na początku roku bieżącego każdy, kto śmiał wygłosić pewne zastrzeżenia co do rzekomej identyczności naszych a czeskich interesów, kto śmiał wyrażać powątpiewanie, czy Koło polskie powinno bezwzględnie popierać wszelkie żądania klubu młodoczeskiego — narażał się na wyrzuty w dziennikach polskich, które zdawały się być wprost przetłómaczone z oryginału młodoczeskiego? Byli np. pomiędzy nami tacy, którzy wówczas hucznemi oklaskami witali adres sejmu czeskiego. Korespondent wasz dobitnie wykazywał ważną różnicę pomiędzy tym adresem, domagającym się zupełnego przeobrażenia prawnopolitycznego ustroju monarchii, a adresem naszego sejmu, żądającym rozszerzenia autonomii na podstawie obowiązującej konstytucyi. Adres nasz przystawał zupełnie do ram projektu adresowego większości parlamentarnej, adres czeski znacznie je przekraczał. To wszystko wykazywaliśmy wówczas. Teraz, gdy nadszedł „le quart d'heure de Rabelais", czyli chwila odpowiedzi na adresy sejmowe, wszyscy czują dokładnie ważną różnicę pomiędzy adresem naszego a czeskiego sejmu. Weteran parlamentarny Chrzanowski wśród rozpraw Koła zaznacza, że jesteśmy autonomistami, nie zaś (skrajnymi) federalistami (vulgo separatystami), jak młodoczesi. A także niektóre z tych dzienników, które każdą manifestacyę czeską witały zasadniczo i bez krytyki oklaskami, dziś na te kwestye spoglądają o wiele trzeźwiej. Mieux vaut tard que jamais.

Także na innem, szerszem polu doczekaliśmy się pożądanego zwrotu i — zadośćuczynienia. Kiedy roku zeszłego na słowiańskim zjeździe w Krakowie (12 grudnia) został nagle wywieszony sztandar polityki wszechsłowiańskiej, która mimo wszelkich dyalektycznych dystynkcyj w praktyce prowadzi do panslawizmu, do utopienia naszej narodowej indywidualności w „morzu rosyjskiem" i do rozbicia Austryi, zastrzegaliśmy się stanowczo przeciwko temu wykolejeniu. Możemy dziś z zadowoleniem zaznaczyć, że ruch wszechsłowiański, pozbawiony wszelkiej historycznej podstawy, nie rozwinął się wcale. Nikt dziś o nim nie mówi. Większość parlamentarna istnieje, ale nie na podstawie szczepowej, lecz na politycznej. Trzeba zresztą uznać, że Koło polskie jako całość nie weszło nigdy na owe tory dziwacznej polityki rasowej, któremi nie kroczą bardziej do siebie zbliżone historyą i cywilizacyą narody innych szczepów, i które tem mniej mogą się nam uśmiechać. Solidarność słowiańska nie przysporzyła nam w Austryi najmniejszej korzyści narodowej. Najważniejsze zdobycze autonomiczne odnieśliśmy wtenczas, gdy staliśmy sami naprzeciwko Niemców, tj. pomiędzy r. 1867 a 1870. Potem solidarność słowiańska zaznaczała się jedynie w tem, że mieliśmy zaszczyt w jej imieniu dopomagać drugim, a nie zdołała ani nawet uchronić od upadku gabinetu hr. Badeniego.

Nie przysparzając nam żadnej korzyści, obarcza nas niechęcią, którą obudzają inni „bracia" Słowianie. Np. stosunki pomiędzy naszemi miastami a Wiedniem są tak sporadyczne, że tutejszy magistrat nie wzbraniałby się wcale w rzadkich wypadkach przyjąć dokumentu polskiego. Ale z obawy przed zalewem czeskim i wskutek istotnie często zbyt natrętnej agitacyi czeskiej, tenże magistrat uchwala nie przyjmować żadnych dokumentów, listów etc. „słowiańskich" i pod tym ogólnikiem wyklucza także polskie. Tak dzieje się w rzeczach najmniejszych i w wielkich. Jako „Słowianie" narażamy się na niechęć, od której bylibyśmy zupełnie

---

45)

Kobieta w XX. wieku

przez

Juliusza Simona i dr. med. *Gustawa Simona.*

(Ciąg dalszy).

Przesąd ten zawładnął i panią, ale wypowiedziałem mu wojnę i pani się go wyrzekła. Wytłómaczyłem jej, że dziecko nie rozrasta się, używając wiele pokarmu, ale zużytkowując tę ilość i jakość pokarmów, które zdolne jest strawić; że jedno dziecko będzie wiele jeść, tracić siły i mizernieć, a drugie jeść będzie mało, a nabierze ciała i rosnąć dobrze będzie; że wysiłek musi być ustosunkowany do możności trawienia i że niebezpiecznie te granice przekraczać; że po każdem jedzeniu należy zostawić czas na odpoczynek i nie przeciążać żołądka pracą, sprowadzającą nadużycie sił.

Prawda, że dawniej mniej zwracano uwagę na żywienie się dzieci, ale też nie liczymy ofiar, które stąd nastąpiły, ani chorób, jakie wynikły. Żołądki, wystawiane na takie próby, płaciły daninę w dyspepsyach i katarach, organa trawienia działały niedostatecznie; trzeba go było leczyć po tem, hygiena była wtedy nauką lekceważoną; od tego czasu postąpiła ona nadzwyczajnie, a jednak nie stosują się do jej przepisów, utrzymując, że ojcowie nasi mniej byli pieszczeni, a jednak byli silniejsi. Patrzeliśmy na tych, którzy przetrwali, ale nie rachujemy tych, którzy przepadli, lub zostali niedołęgami. Dla tego właśnie tak byłem dla pani bezwzględnym, kiedy radziłem pani brać rolę matki bardzo poważnie, kiedy szło o początkowe wychowanie dziecięce. Wiem, że wyśmiewają się z tej pedanteryi, że niektóre matki, ulegając miłości własnej lub fałszywemu wstydowi, zgadzają się na nieostrożne próby, które po tem opłakiwać muszą. Albo ulegną własnym kaprysom, albo łzom malca, a kiedy nazajutrz u łóżeczka chorego czuwać muszą, kiedy widzą, że ma gorączkę, biją się ze skruchą w piersi, dwojako cierpiąc: dręczone chorobą ukochanej istotki i wyrzutami, które sobie czynią, że uległy słabości.

Doktor domowy.

Kiedy choroba wejdzie w dom, dają się zaraz słyszeć wykrzykniki: „Gdybyśmy wiedziały! gdybyśmy przewidywały!" Ależ wiedziałyście panie, tylkoście wierzyć nie chciały. Nie przypuszczały panie, że dziecko podobnem jest do mechanizmu zegarka, którego nie można bezkarnie psuć. Dziewczynka pani miała sześć lat, kiedy po raz pierwszy zachorowała. Po zjedzeniu zwykłego śniadania była na zabawie dziecinnej. Dano przekąskę, pozostawiła ją pani przy stole, świetnie zastawionym, przystrojonym tortami. Mała nie mogła oprzeć się pokusom tak potężnym, i jak wszystkie inne dzieci, jadła, co jej dawano. Wracając do domu, czuła się już niedobrze, była czerwona i miała gorączkę. Pani tak się przeraziła, że aż po kilku posłała doktorów. Pierwszy, który przybył, był rzeczywiście dobrym doktorem, ale pani, podobnie jak wszystkie dzisiejsze matki, nie poprzestawała na jednym, potrzebowała mieć wielu doradców. Doktor uspokoił panią, ale pani chciała być jeszcze więcej uspokojoną, gdyż mała nie przestawała cierpieć. Trzeba pani było mieć ją zdrową za parę godzin. Drugi i trzeci doktor potwierdził zdanie pierwszego, zapewniając, że nie ma już niebezpieczeństwa. Ale i to nie wystarczało: nie mogło się pani w głowie pomieścić, że przeładowanie gastryczne nie daje się zaraz usunąć i pani chciała co chwila zmieniać lekarstwo, nie widząc, aby dość energicznie działało, chcąc tym sposobem wyprzedzić działanie lekarstwa i natury. Doktorowie nic nie umieli! Wszyscy jednogłośnie uprzedzili panią, że choroba potrwa kilka dni, ale pani nie chciała się poddać nieubłaganemu prawu i powtarzała pani: „Oi wielcy doktorowie, równie jak i ci pospolici, nic a nic nie wiedzą." Sprowadziła pani jeszcze jednego lekarza, który przybył w chwili, kiedy miała nastąpić rekonwalescencya. Przepisał niewinne lekarstwo, które już było niepotrzebne i dziecku nazajutrz było lepiej: „A co? nie mówiłam?" — zawołała pani. I ten doktor, który się znalazł tam w chwili, kiedy już nie było żadnego niebezpieczeństwa, stał się dla pani największym z lekarzy, uratował życie dziecku! Jakże pani starała się mu dogadzać, jak go pani błogosławiła, polecając go wszystkim swoim przyjaciółkom.

Zmroziłem cokolwiek pani zachwyt, przemawiając do znanego mi rozsądku pani, kiedy już pani wyszła z niepokoju i trwogi. Wszak pierwszego dnia uprzedziłem panią o całym przebiegu choroby i że wszystko prawidłowo odbyło się, i z tej okoliczności korzystając, przestrzegałem przed tak upowszechnioną manią szkodliwą, jaka panuje, że w najprostszych wypadkach uciekamy się do najznakomitszych luminarzy nauki. Radziłem, aby pani jednego zaufanego radziła się doktora, nie stawiała się w trudnem położeniu wybierania często między różnemi radami kilku.

Nie należę do tych, którzy twierdzą, że medycyna leczyć może wszelkie dolegliwości; ale jakkolwiek pani wątpi może o niedostatecznej nauce lekarzy, musiała pani wspólnie ze mną uznawać ją za potrzebną; oni muszą coś umieć, kiedy pani po nich posłała, ale zawsze starałem się ratować panią od niedogodności wzywania kilku doktorów, a jeszcze silniej nalegałem strzedz się szarlatanów, którzy zapisują te leki, na które mają przywilej, i z których tem samem ciągną ogromne zyski.

Tylko co mówiliśmy o obyczajach przodków; oni właśnie mieli wyborny zwyczaj, który zalecać należy, to jest mieli zawsze jednego i tego samego doktora domowego, który znał dobrze swoich pacyentów, znał ich temperamenty, drobne wady, który znał historyę domu, był jego przyjacielem, uczęszczał tam nie proszony i nie wzywany. Stanowił, że tak powiem, członka rodziny, nie był obcym i dawał rady nietylko jako lekarz, ale jako przywiązany do osób, które leczył, a na których umysł miewał zbawienny wpływ, kiedy chorowali. Naprzód rodziców, potem dzieci leczył.

Gdzie szukać dziś takich lekarzy? Jeżeli gdzie są, kto o nich mówi? Moda chce mieć specyalistów i można powiedzieć, że tylu doktorów radzimy się, ile mamy organów. Wzywamy doktora od żołądka, od serca, od nerwów, od płuc, nie uznajemy, że choroba jednego organu wpływa na wszystkie inne i zamieniamy się na magazyn apteczny. Dawniej nasycali nię ładnie lekarstwami, dziś jeszcze więcej się nasycają, pomimo tego, że hygiena oddała ogromną usługę, stawiając tamę temu przypływowi morza lekarstw. Ale chcemy koniecznie brać lekarstwa i doktor często jest zmuszony uledz tej chętce, jeżeli nie chce zasłużyć na opinię niedołęgi i nieuka.

Dziewczynka pani miała ośm lat (już przed sześciu miesiącami dostała cztery trzonowe zęby) i pani chciała, nie mówię: prowadzić ją na bal, ale prowadzić na zabawy dziecinne lub do teatrzyków dziecinnych. Przecież już tak pięknie jej włoski płowe układały się, tak z oczków patrzył rozum i świeciła pojętność, takie miała piękne sukienki, że doprawdy nie godziło się chować jej przed światem; więc wynajdowała pani pozory, aby ją na światowe zebrania prowadzić.

Trochę ułagodziłem gorące te zapędy i sama pani przyznała, że spacery na świeżem powietrzu, trochę siedzącej pracy w domu, żywienie regularne i sen o swojej porze dawały młodej dziewczynie wzrost, rozwijanie się i siły.

Sama pani kierowała nauką dziewczynki od ośmiu do dziesięciu lat, sama nauczyła ją pani czytać, pisać, dodawać i grać gamy na fortepianie. Co dzień odbywałyście razem przechadzki, gdyż pani należy do nowej szkoły, która żąda ćwiczeń fizycznych; znanem było pani z doświadczenia niebezpieczeństwo życia siedzącego. Przechadzała się, biegała w ogrodzie, wyrabiała sobie apetyt, jadła dobrze, jeszcze lepiej trawiła, „wydłużała się", jak pani mówiła.

Zapisywała pani daty na drzwiach, przy których stawiała pani córkę i za pomocą linii znaczyła pani kredą miejsce, do którego dostawała. Co miesiąc był postęp. Cała zalotność pani przeniosła się na dziecko, które zawsze ładnie było ubrane i bardzo elegancko wyglądało; nieraz słyszała pani wymówki, że przyzwyczaja dziecko do zbytku i próżności, gdyż suknia zaczynała u niej nabierać wielkiego znaczenia, szczególniej kiedy dziewczę zaczęło rok czternasty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wolni jako Polacy! Ktokolwiek znał Wiedeń przed r. 1879, doskonale ocenia tę zmianę.

Co i o czem piszą.

W lutym b. r. dr. Marchwicki wystąpił w Sejmie z nagłym, dwudziestu trzema podpisami posłów popartym wnioskiem, o wezwanie rządu, ażeby ustanowił krajową dyrekcyę kolejową z jak najobszerniejszym zakresem działania. Wniosek ten był tylko ostatnim wyrazem życzeń i opinii, wypowiedzianej już niejednokrotnie przez nasz Sejm krajowy. Ale rząd mimo tych wszystkich zabiegów kraju, jakkolwiek mu przedstawiano, że jeśli administracya kolejowa ma odpowiadać ekonomicznym interesom kraju, musi posiadać na miejscu organa z znacznie większemi atrybucyami, aniżeli dzisiejsze dyrekcye ruchu, — więc rząd nie czynił nawet nic takiego, abyśmy mogli cierpliwie stosowniejszych wyczekiwać okoliczności. Otóż wniosek dr. Marchwickiego został natychmiast bez opozycyi i dyskusyi uznany za nagły i bez odwłoki uchwalony. Sprawę tę przypomina *Słowo polskie* i pisze co następuje:

Jest to jedna z tych spraw, które nie schodzą nigdy z porządku dziennego i zejść nie mogą póty, póki nie zostaną w myśl życzeń i potrzeb kraju załatwione. Tu nie idzie o zadośćuczynienie jakiej teoretycznej zasadzie, jakiej doktrynie autonomicznej, jakiemu politycznemu kierunkowi — tu idzie o to, aby organizacya tak ważnego działu służby publicznej była dobra, odpowiednia swemu zadaniu. Kto zna, choćby tylko powierzchownie, istotę zarządu kolejowego, tak pod względem technicznym, jak i w zakresie komercyalnym i w sprawach ruchu — ten zrozumie, że zarząd tak rozległej sieci kolejowej, jak galicyjska, z odległego centrum państwa jest poprostu niemożliwy, jeżeli ma być dobry. Tu w interesie samej kolei, jak niemniej w interesie tego obrotu ekonomicznego, któremu kolej ma służyć, muszą sprawy być załatwione bez zwłoki, przez organa, znające dokładnie stosunki miejscowe i krajowe. Wszelkie odnoszenia się z takiemi sprawami do centrum państwa sprowadza dwojaką szkodę — powoduje zwłokę i oddaje rozstrzygnięcie w ręce ludzi, którzy tych miejscowych stosunków nie znają, a skutkiem tego muszą rozstrzygać według szablonu — i to szablonu, opartego na doświadczeniach, poczynionych wśród zupełnie odmiennych stosunków.

Zarząd kolejowy jest tym największym w kraju przedsiębiorcą, mającym monopol przewozu towarów tak wewnątrz kraju, jak w stosunkach z zagranicą, a powtóre jest bardzo wielkim konsumentem wyrobów najrozmaitszych gałęzi przemysłu. W jednym i drugim kierunku polityka zarządu kolejowego wpływa bardzo decydująco na ekonomiczny stan kraju — a biada temu krajowi, w którym ta gałąź służby publicznej nie jest z jednej strony tak samoistną, ażeby w swem działaniu niezależna była od wpływów obcych, pozakrajowych, nieznających stosunków kraju, a często i krajowi nieprzychylnych, a żeby z drugiej strony była poddana ciągłej, czujnej, skutecznej kontroli kraju. Tym zaś warunkom odpowiedzieć może tylko system decentralizacyi — a jeżeli w Prusiech, które z wyjątkiem wschodniej, polskiej części, są państwem jednolitem, uznano konieczną potrzebę decentralizacyi i równocześnie z upaństwowieniem ją przeprowadzono — to tem bardziej konieczne to jest w państwie, którego części składowe pod względem swego ekonomicznego charakteru tak bardzo między sobą się różnią. Tutaj centralizacya kolejowa jest wprost zgubna dla ekonomicznego rozwoju krajów. Te względy spowodowały Sejm, że kilkakrotnie sprawę tę za pomocą rezolucyj do rządu i memoryałów Wydziału krajowego poruszał — te same też były motywy zeszłorocznej uchwały Sejmu. Pragnęlibyśmy przeto wiedzieć, co się z tą uchwałą stało i jaki jej skutek? Na wniosku posła Marchwickiego podpisany jest między innemi poseł Adam Jędrzejowicz, ówczesny wiceprezes Koła, obecnie minister dla Galicyi. Przy uchwale samej byli obecni przywódzcy Koła polskiego i liczni jego członkowie. Taki podpis i taka uchwała obowiązują. Prosimy o dotrzymanie tego zobowiązania.

* *

Wędrowiec zamieścił bardzo interesujący artykulik p. t. „Psychologia tytułu książki“ w którym autor, ukrywający się pod pseudonimem „Ursus“, dowodzi, że zgromadzone na półce księgarskiej książki, prowadzą taką zaciętą walkę o byt, jak to czynią ludzie i że z walki tej ta wychodzi zwycięzko, która jest lepiej uzbrojona, to jest lepszym opatrzona tytułem. Twierdzi on też bez najmniejszego wahania, że największe powodzenie ma dobra książka z dobrym tytułem; mniejsze zła książka z dobrym tytułem, a najmniejsze dobra książka ze złym tytułem. Dalej zaś pisze tak;

Przepisu na dobry tytuł nie można podać, tem bardziej, że ulegają one modzie. I tak naprzykład w swoim czasie „Malwina, czyli domyślność serca“, uważaną była za pięknie zatytułowaną książkę. a dziś ten tytuł wydaje się zabawnym, jak i wiele innych z pierwszej połowy naszego stulecia, n. p. „Ademar, czyli nie potępiajcie, dopóki nie poznacie“, albo: „Paulina i Róża, czyli Pan Bóg wynagradza pracę i cnotę“. Sięgnijcie głębiej w katalogu, a znajdziecie taki dziwoląg, jak: „Artamen, albo Wielki Cyrus“. Jeżeli idzie o *curiosum*, to trudno o lepsze niż posiadał tytuł sztuki, którą grywano w teatrach jeszcze za naszej pamięci: „Chłop milionowy, czyli dziewczyna ze świata zaczarowanego“. Chłop, czyli... dziewczyna?! Pogoń za tytułem, któryby pochwycił uwagę czytelnika, nie obcą była już pisarzom starożytności. Rzymianie praktykowali ją trochę. Pliniusz starszy gorzko się skarży na to. Znęcony czytelnik otwiera książkę i woła: „O bogowie i boginie, co za próżnia!“ Żydowscy i arabscy pisarze mieli łatwą imaginacyę. Oto parę ich tytułów: „Kość Józefa“, „Szaty królewskie Mardocheja“, „Usta śpiących“, „Zapach róż Damaszku“.

Reformacya wywołała i stworzyła całą literaturę polemiczną, której tytuły wydają się dziś dziwnemi, w swoim jednak czasie musiały wywierać to wrażenie, co ostrze dobrze wytoczonej broni. Niektóre tytuły znane są dobrze czytelnikom, bo je często prasa powtarza. Przytoczymy jeden z nich: „Ścierka do utarcia pyska zakamieniałemu grzesznikowi“. Tytuły skromne miały jednak także swoją wartość i dziś jeszcze pisarze kładą jakie imię zwyczajne lub nazwisko na okładce swej książki, jakby chcąc przez to powiedzieć: „Żadnych z góry obietnic! Niech treść dzieła mówi za siebie“ Oczywiście jest to także nic innego, jak tylko sposób na zwrócenie uwagi czytelnika. Wprowadźcie na bal pomiędzy panie, w jedwabie postrojone i drogiemi kamieniami obsypane, skromne dziewczę w zwykłej szarej sukience, a wszystkie oczy ku niej się zwrócą. Oto kilka tych szarych sukienek w literaturze: „Pani Bovary“, znana powieść Flauberta; „Rodzina Buchholzów“, arcydzieło niemieckiego pisarza Jana Stinde; u nas: „Rodzina Połanieckich“ Sienkiewicza, „Zygmunt Ławicz“ Orzeszkowej, „Siostry Malinowskie“ Konara, „Gąsiorkowski“ Kosiakiewicza.

Tytuły egzotyczne, słowa dziwaczne, brzmiące cudzoziemsko i nic nie mówiące, przez pewien czas fabrykowane były z zamiłowaniem, zwłaszcza we Francyi. Ponieważ w języku francuskim litera z używaną jest bardzo rzadko na początku wyrazów, powstała masa tytułów o słowach niezrozumiałych, poczynających się właśnie od litery Z. A więc: „Zadesia“, „Zemgamio“, „Zizi“, „Zaza“, „Zozo“, „Zuzu“, „Zézette“, „Zo Har“, „Zambala“. Nas ominęła ta plaga.

Brak jakiegoś czynnika w życiu człowieka, lub pierwiastku pewnego w jego charakterze, nastręcza dobry tytuł do powieści psychologicznej. Dało to Sienkiewiczowi „Bez dogmatu“, Kraszewskiemu „Bez serca“, Zalewskiemu „Bez posagu“. Bardzo efektowny tytuł do powieści z zakrojem naturalistycznym „Bez pieniędzy“ wakuje jeszcze i jest do wzięcia.

Niektóre przymiotniki mają dużo szczęścia w tym względzie; do nich należy np. przymiotnik liczebny „ostatni“. Jest więc dramat pt. „Ostatni“, są „Ostatni Mohikanie“, „Ostatnia z książąt Słuckich“, aż do „Ostatnich Rzymian“ Jeske-Choińskiego. Zwracam jeszcze uwagę na tytuły, które wiele mówią i streszczają niejako główną sytuacyę powieści: „Między ustami a brzegiem pucharu“ Rodziewiczówny; „Lepsze dobre imię, niźli maście drogie“ Synoradzkiego; a z literatury dawniejszej: „Szlachecka dusza na komornem w chłopskiem ciele“ Cześnikowicza.

Są tytuły złe i dobre. Jedne dotrzymują tego, co obiecywały, inne zawodzą zaufanie czytelnika. Czasem autorowi tytuł wypłynie sam, jako prosta konsekwencya pomysłu artystycznego, czasem zaś musi autor długo szukać stosownej dla swego dzieła etykiety (i wtedy rzadko jest dobra), a czasem — i tak się zdarza — autor ma sam tytuł, nic, tylko tytuł i długo szuka odpowiedniej do niego powieści.

Żyje zresztą na Bożym świecie spora gromadka autorów, którzy nie stworzyli nic więcej nad — tytuł (najczęściej w swej młodości) co im wcale jednak nie przeszkadza być dobrymi obywatelami kraju.

Ktoś zauważył niedawno rozdźwięk, jaki tak często istnieje pomiędzy tytułem a dziełem, zapowiedzią a dotrzymaniem obietnicy i zaproponował — zniesienie tytułów. Reformator ten radzi naśladować muzyków i pisać poprostu: opus 1, opus 2, opus 3 i tak — do końca świata.. Wybawiłoby to z kłopotu niejednego autora, ale jakby to wpłynęło na księgarski handel? Nikt zresztą nie myślał o tej reformie na seryo, autora jej nie wyłączając.

Że jednak autor o bardzo nawet pomysłowej fantazyi może się znaleźć w kłopocie przy szukaniu tytułu, dowodem Kraszewski, który napisał raz „Powieść bez tytułu“. Tylko była to na raz sztuka.

List do Redakcyi.

(Rzemiosło czy rękodzieło?)

Chwała Bogu, że komisya krajowa dla przemysłu na wniosek inspektora Frankego uchwaliła przystąpić do zakładania we wszystkich miastach warsztatów rzemieślniczych a najprzód już w roku przyszłym w Przemyślu, a więc zrobi to, do czego już dawno nawoływano. W odnośnym referacie spotykam atoli wyraz „rękodzieło“ i „rękodzielniczy“, co jest oczywiście germanizmem z Handwerk, czego w Polsce dopiero wtedy używać poczęto, kiedy ktoś wścibski sądził, że „rzemiosło“ odnosi się do rzemieślników, którzy ze „rzemienia“ coś wyrabiają, a więc do szewców, rymarzy, rękawiczników itd. i sami dla odróżnienia się od tychże rękodzielnikami się z niemiecka nazwali. Zapatrywanie takie jest błędne i fałszywe, bo w Polsce używany wyraz „rzemiosło“ pochodzi od „rzecz“ i „myśleć“ tj. nad rzeczą jaką przemyśliwać, a więc prawie tyle, co „przemysł“ z tą różnicą, że pierwszy wyraz odnosi się do praktycznej strony wyrobu, drugi do zastosowawczej inwencyi handlu a dlatego raz na zawsze zaniechać powinniśmy obcego wyrazu, skoro posiadamy prześliczny swojski. Należy się wdzięczność inspektorowi Frankemu, że wszedł na praktyczne tory i zamiast wyrzucać tysiące na eksperymenta i fabryki nieudałe wprost kształcić chce młodzież we wzorowych warsztatach rzemieślniczych i wyrugować owo zastarzałe „terminowanie“, plagę ową młodzieży rzemieślniczej marnującej talenta w norach dusznych i brudnych. *P. S.*

Mały Fejleton.

Galicyjski karyerowicz

monolog z ostatniego „Śmigusa“.

(Młody Gogo wpada na estradę z ukłonem:)

Moje uszanowanie!... Uniżony sługa!... Sługa i podnóżek!... Jestem konceptpraktykantem. Mam dwadzieścia siedm lat, dwanaście modnych garniturów, sześćdziesiąt pięć krawatek przeróżnego kroju, kilkanaście par balowych rękawiczek, ośm tuzinów kołnierzyków i mankietów, sześć par lakierów, cztery klaki, pięć ręczników, dwa cylindry, trzydzieści pięć chustek, osmnaście tysięcy długu i widok — (do kogoś z publiczności). Co? — na plac Maryacki?... Nie, łaskawa pani. Widok mam od tyłu, na oficyny, przy ulicy Hetmańskiej, ale w urzędzie mam widoki na frontowego radcę ministeryalnego, (prostując się dumnie) Radca, o!.. a jak dobrze pójdzie, to w bardzo krótkich „abzugach“ zostanę szambelanem, hofratem, ekscelencyą, ministrem bez teki, ministrem z teką i być bardzo może, że i ministrem prezydentem.. (z ukłonem) Do usług, państwa!... Wszystko w rękach, co? — boskich? — nie, moich przełożonych... To też (kłania się z rewerencyą); sekretarzowi oddaję ukłon taki — (kłania się niżej); staroście lub dyrektorowi, kłaniam się pięć centymetrów niżej; radcy jeszcze o kilka centymetrów niżej, a jeżeli mi przyjdzie ukłonić się prezydentowi albo, daj Boże, ministrowi, to na honor, poprostu staję na czworakach; mniej więcej tak — (pochyla się do ziemi i prostując się po chwili). Te śmiechy na sali... Wyraźnie słyszałem, prawdopodobnie śmiano się ze mnie?... Proszę państwa, to nie są śmiechy, to są aspiracye, to jest awans, to moja przyszła karyera, to nie są żarty!.. W dzisiejszych czasach, nie gardzi się stanowiskiem praktykanta, a cóż dopiero wypłatanem krzesłem radcy ministeryalnego z gutaperkową podnóżką pod spodem!... Mój dziad był ziemianinem, hreczkosiejem. Co zasiał to zjadł, ale trzymał się prosto i mówił o sobie: „my szlachta“. Już mój ojciec nie siał i nie zbierał, mieszkał w mieście, żył wykwintnie, kłaniał się na prawo i na lewo i mówił o sobie: „ja, szlachcic“. A ja — niby „ja“, mieszkam blisko mojego urzędu, kłaniam się niżej od mojego ojca, ale nie wszystkim, i nie mówię o sobie inaczej, jak: „moi przełożeni“. Obecnie mnie nie ma, nie egzystuję!... Stanowię kropkę po nad „i“ z nadzieją przedzierzgnięcia się z czasem w wielkie C. K B. z brzuszkiem, z tytułem „ekscelencyi“. (Z westchnieniem) Ekscelencya!... W tym jednym wyrazie ile dźwięku! wytwornej elegancyi! arystokratycznego polotu! (z lubością) „Ekscelencyo, ekscelencya prezydent prosi ekscelencyę do swego własnego gabinetu“. To cały poemat!.. Epopeja!.. (siadając). Słabo mi się robi!... Po takiej pierwszej audyencyi w gabinecie ministeryalnym czuję, że przez trzy dni potem drżałyby mi łydki... (opierając się sentymentalnie) Życie ma tyle — tyle uroku!... Życie jest takie piękne!.. Złote kołnierze! — tytuły! — — ordery! — — — zaproszenia na bale dworskie! — — — (zrywając się z siedzenia). Ach! jedno takie zaproszenie na bal dworski, a potem konać, umrzeć, unicestwić!.. (zapalając papierosa). Na to, żeby mnie zrozumieć — trzeba być poetą, trzeba — że się tak wyrażę, czuć iskrę nieba w sercu.. Kiedyś pisałem wcale zgrabne sonety, ale od czasu, jak jeden z hofratów powiedział, że poezya to głupstwo, strzaskałem pióro poezyi i piszę prozą, referuję kawałki. Proszę mi wierzyć, to wcale rzecz przyjemna siedzieć w biurze. Mój obecny szef, widząc mnie tu kiedyś pochylonym nad aktami, klapnął mnie dwa razy w ramię i powiada: „Panie Zenonie, referuj pan tak dalej, a ja pójdę na śniadanko“. Za ten dowód uznania chciałem go pocałować w ramię, lecz się odwrócił, więc pocałowałem go cokolwiek niżej.. Ale to nic nie szkodzi! Kto smaruje, ten jedzie! — Chodzi on dziś na śniadania — będę ja jutro chodził... Dziś ja jego pocałowałem o kilkanaście centimetrów niżej, jak wypadało, za lat kilkanaście będą mnie całowali... To jest odwieczny porządek rzeczy i inaczej być nie może! (Siada, zakłada nogę na nogę i rozpierając się wygodnie z nonszalancyą). Coś we mnie jest, co mnie zadawalnia... Mam coś w sobie — co mi się podoba. Mój szef powiada, że jestem przystojny. Bagatela!.. Wiem o tem, wiem... Radca ma dwie córki. Tak, niczego sobie, ładne panienki. Gdybym miał mniej aspiracyi, to kto wie, z młodszą może... (wstaje). To nie dla mnie partya!... Córka jakiegoś tam Czubka, chociaż on radca, ale Czubek!.. Nie, nie, stanowczo nie!.. Żal mi panny Maryi, ale parole d'honneur, nie mogę!... To się tak zdaje!.. Właśnie balotuję się w kasynie narodowem, a pięknie by dla mnie wypadł ten balot, gdyby wieść gruchnęła, że się zaręczyłem z Czubkówną!... Gdyby miała przynajmniej dwa kroć, á la bonheur!!... ale goła, goła, jak róża bez liści!.. (do kogoś z publiczności) Co?... Jak, panie?... Ma? — — Co ma?.. A! ma dwadzieścia tysięcy!.. Ależ, panie!... dwadzieścia tysięcy, to kropla w morzu!... Za kilka miesięcy przeniosą mnie do Wiednia i proszę mi powiedzieć, za co się wyekwipowałbym po spłaceniu długów?... Prawda?? — Oczywiście!!... A szkoda, na honor szkoda! bo mi się panna Marya nadzwyczaj podoba! Ma coś, coś w sobie, co nie jest bez wdzięku; coś, co mnie kusi — ale nie mogę, nie, nie!... Sytuacya o tyle dla mnie drastyczniejsza, że uprawiałem z nią lekki flirt, bałamuciłem ją cokolwiek... Ale ja nie mogę robić głupstwa, poprostu mnie nie wolno!... Zbałamucić mężatkę, przerznąć w karty, zarwać kogo, robić długi — to są wszystko tego rodzaju grzechy, za które dostaje się rozgrzeszenie, ale ożenić się źle, z panną ubogą, chodzić w galicyjskim garniturze, mieć ciasne pomieszkanie i pięcioro latorośli — oho! — bywaj Zenonie zdrów! Karyerę wzięliby dyabli jak nic!... Co nie — to nie!... Prawa serca, to awans! to te aspiracye polityczne, które z marnej jednostki czynią senatora!... Zresztą, panna Marya — państwo znacie ją? — prawda, egzaltowana blondynka?... Ojczyzna! Ojczyzna!... To nie może być! — W wiedeńskiem ministerstwie niema ojczyzny! a taka deklamacya żony, zawsze szkodzi mężowi! (z uśmiechem zadowolenia). Jakże się bosko patrzy na mnie ta dziewczyna! Śliczne ma oczy, niebieskie... Temi oczami magnetyzuje mnie, ubezwładnia, obiecuje mi całe niebo!... Tak, tak, niebo!... Dobra to rzecz, niebo — tam — — w górze, ale tu na ziemi niebem dla mnie jest ministerstwo!... (spojrzawszy w stronę drzwi) Co?... Kto taki?... A! hrabia na mnie czeka!.. Natychmiast!... (do publiczności). Państwo słyszycie? — mój przyjaciel hrabia na mnie czeka!..., Żegnam!... (Chwyta za kapelusz i spiesząc ku drzwiom) Co pan hrabia rozkaże?!... Do usług pana hrabiego.

Franciszek Zwilkoński.

Kronika.

Lwów 22 grudnia.

Wiadomości urzędowe Ministerstwo handlu mianowało oficyałów pocztowych, a mianowicie: Alfreda Głaczyńskiego i Józefa Nieklesa we Lwowie, Jana Krasickiego w Krakowie, Ludwika Zająca w Przemyślu i Stanisława Sokołowskiego w Zaleszczykach oficyałami pocztowymi w IX klasie rangi. — August Haller, syn śp. Henryka, byłego dyrektora Tow. kred. ziemskiego, mianowany został *attaché* przy ambasadzie austryackiej w Konstantynopolu.

Minister sprawiedliwości zamianował adjunktami sądowymi auskultantów sądowych: dra Jana Rafała Rutkowskiego dla Mościsk, Kazimierza Frankowskiego dla Dubiecka, Aleksandra Fedyńskiego dla Zabłotowa, Stanisława Władysława Kownackiego dla Starego miasta, Remusa Modesta Sbierę dla Seretu, Włodzimierza Fedaka dla Bohorodczan, Emiliana Huzara dla Czortkowa, Władysława Lisowskiego dla Zaleszczyk, Filareta Grabowieńskiego dla Gwoździca, dra Józefa Mierzeńskiego dla Delatyna, Joachima Ciuntukaca dla Seretu, dra Konstantego Onciul dla Dorny, Stanisława Chmielewskiego dla Turki, Michała Piurko dla Winnik, Karola Abgara Zachariasiewicza dla Gródka, dr. Łukasza Rogalskiego dla Skałatu, Marcina Kaliszczaka dla Skałatu, dr. Michała Słoniewskiego dla Halicza, Józefa Lubienieckiego dla Buska, Józefa Dworzaka dla Skolego, Konstantyna Telimana dla Stanestie, Władysława Ilnickiego-Sieniuszkiewicza dla Kossowa, dra Stanisława Warmskiego dla Drohobycza, Włodzimierza Jojka dla Bursztyna, Władysława Kuzińskiego dla Buczacza, Kolckiego dla Uhnowa.

Minister oświaty zamianował dyrektora prywatnej szkoły żeńskiej w Przemyślu ks. Władysława Makowca nauczycielem religii w seminaryum nauczycielskiem w Samborze.

Minister sprawiedliwości zamianował kandydata notaryalnego w Storożyńcu dra Pawła Berasa notaryuszem w Seletynie.

Bilety na 1 posiedzenie Sejmu wydawać będzie Kancelarya sejmowa (gmach sejmowy I piętro) we wtorek 27 grudnia między godz. 11 a 12 w południe. Bilety na następne posiedzenia wydawane będą zawsze od 6—7 wieczór w dniach poprzedzających posiedzenie.

Wykoleił się wczoraj w Chełmku za Trzebinią pociąg ciężarowy, co przyprawiło maszynistę i palacza o rany, a tor był tak zawalony, że pociąg błyskawiczny, który niebawem nadjechał, musiano zatrzymać, a pasażerowie przesiadali się do innych wagonów, ustawionych po drugiej stronie tych gruzów.

Sprawozdanie komisyi elektrycznej z administracyi miejskiej kolei elektrycznej w czasie od 1 sierpnia 1896 do 31 grudnia 1897 wykazuje w rubryce przychodów sumę 323 000 złr., w rubryce rozchodów 243.000 złr., po odtrąceniu zaś $4^1/_2$% na amortyzacyę ceny kupna kolei, wynoszącej łącznie z wartością gruntów i przedwstępnymi wydatkami gminy m. Lwowa ogólną kwotę 840.000 złr., pozostaje czystego dochodu 25 000 złr. Dochód ten odłożono na uposażenie funduszu odnowienia, koniecznego przy wszystkich przedsiębiorstwach technicznych. Mimo tych wydatków przyszłość przedsiębiorstwa kolei elektrycznej jest zapewnioną, gdyż dochody kolei co roku się wzmagają a wydatki ruchu stosunkowo się obniżają. Ekonomiczny wpływ kolei ilustruje fakt, że podwójne jej tory przerzynają miasto w długości przeszło 8 klm., łącząc oddalone krańce z jego środkiem i przyczyniają się jednocześnie do rozwoju przedmieść i podniesienia wartości gruntów wzdłuż szlaku kolejowego położonych. O rozwoju kolei elektrycznej świadczy liczna, a z każdym rokiem wzmagająca się frekwencya. Podczas kiedy liczba przewiezionych koleją osób wynosiła w 1895 r. 3,222 641, wynosiła ona w 1896 r. 3,785,692, a w 1897 r. 4,165.977 osób. Odpowiednio do tego wzrostu frekwencyi wzrastał również i przychód brutto kolei elektrycznej, który od r. 1895 do 1897 zwiększył się o 50.000 złr. Procentowy stosunek, w którym poszczególne linie przyczyniły się do dochodów kolei przedstawia się tak, że na linię główną Dworzec Śródmieście Łyczaków przypada $79^1/_2$%, na linię boczną ul. Hetmańska-Stryjskie $19^1/_2$% wreszcie na linię cmentarz Łyczakowski 0·89%.

Wzrastanie ruchu osobowego pozostaje w związku z powiększaniem się sposobności jeżdżenia t. zn. z zwiększaniem się liczby jeżdżących wozów. Im częściej wozy jadą, tem więcej jedzie publiczności. Bardzo ciekawą jest statystyka ruchu osobowego w poszczególnych miesiącach roku. Najmniejszą jest frekwencya w lutym, mianowicie wynosiła ona w 1897 r. 257.064 osób, potem frekwencya wzrasta stale, a największą jest w czerwcu (432.095 osób) i w lipcu (410.378 osób). Po tych miesiącach frekwencya powoli, ale stale się zmniejsza i jak powiedzieliśmy najmniejszą jest w lutym. Objaw ten jest widocznie stały, gdyż i statystyka za r. 1896 wykazuje ten sam stosunek cyfr.

Potworna zbrodnia. W Stanisławowie zdarzył się we wtorek w nocy oburzający fakt. Trzej czeladnicy kominiarscy utopili w studni swojego kolegę zawodowego, Jana Lanikowskiego. Był to młody dwudziestokilkoletni pomocnik, zatrudniony u kominiarza Hamera. Nie miał żony, a lubiał od czasu do czasu zabawić się z kolegami w szynku. Bywał szorstkim i stanowczym, co nie bardzo podobało się jego kolegom. We wtorek w nocy profesor Lewicki z żoną powracając do domu z kasyna, posłyszał na ul. Zosina Wola, stłumiony jęk i wołanie o pomoc. Głosy te wydobywały się z przydrożnej studni. Państwo Lewiccy zbliżywszy się do studni, dostrzegli w głębi jakiegoś człowieka. Był to Lanikowski, który wieczorem wybrał się na birbantkę. Co żywo więc pobiegł profesor Lewicki do żołnierzy, mieszkających w sąsiednim domu i ofiarował im wysoką nagrodę za wydobycie człowieka ze studni, oni jednak nie mieli odwagi podjąć się ratunku. Profesor Lewicki posłał po strażaków ogniowych. Przybyło ich dwóch, ale i oni nie chcieli spuścić się do studni. Profesor Lewicki spuścił do studni wiadro, wołając na tonącego, by się tego wiadra uczepił, on jednak stracił przytomność i wezwania już nie słyszał. Wreszcie przybyła straż policyjna i ta wydobyła z głębi studni topielca. Niestety za późno. Wszelkie usiłowania przyprowadzenia go do życia, okazały się bezskutecznemi. Lekarz miejski mógł stwierdzić tylko śmierć denata. Wdrożone śledztwo doprowadziło do aresztowania trzech kolegów Lanikowskiego, mianowicie: Habasiewicza, Hawaluka i Ruberta, jako silnie podejrzanych o spełnienie tego barbarzyńskiego czynu. Habasiewicz, który jest jeszcze terminatorem, miał — jak się okazuje — złość do Lanikowskiego, gdyż on miał Habasiewicza traktować pogardliwie. Lanikowskiego widziano we wtorek w nocy w towarzystwie tych trzech kolegów. Był mocno pijany. Około godz. 12 w nocy widziała ich pewna arfinistka wychodzących z szynkowni na ulicy Zosina Wola. Jest to dzielnica, na której się gnieżdżą szynkownie i spelunki najgorszego gatunku. W godzinę zaś później, a zatem w czasie, mniej więcej, kiedy zbrodnię popełniono, widziała pewna dziewczyna, wracająca tą ulicą, jak dwaj mężczyźni ciągnęli pijanego Lanikowskiego, prowadząc go pod ramiona, środkiem ulicy, w kierunku realności S. Weingartena, gdzie właśnie stoi studnia, w której Lanikowski utonął. Wszyscy trzej wymienieni kominiarze starają się wykazać swoje *alibi*, twierdząc, że byli tego wieczoru w teatrze i przed 11 w nocy powrócili do domu. Jednakże owa arfinistka twierdzi, że Habasiewicza poznała jako tego, który był w tej grupie. Przeciwko pompierom, którzy odmówili pomocy żyjącemu jeszcze Lanikowskiemu i pozostawili go w studni, wytoczył burmistrz śledztwo dyscyplinarne.

Uroczystość mickiewiczowska w Petersburgu. Towarzystwa literackie w Petersburgu: „Kasa literacka“ i „Związek pisarzy rosyjskich“ urządzają dnia 29 bm. wspólnemi siłami uroczysty wieczór mickiewiczowski. Profesor Spasowicz wygłosi odpowiedni odczyt.

Zabobon. We wsi Szypot, nieopodal Seletyna, na Bukowinie, niewyśledzony złoczyńca, zakradłszy się nocą do miejscowej cerkwi gr. oryentalnej, zabrał z kielicha komunikanty i z ołowianego krzyża odkręcił gałkę. Pieniędzy z puszek, ani kosztowności nie ruszył, co wskazuje, iż pobudką świętokradztwa był rozpowszechniony pośród huculów zabobon. Wierzą oni mianowicie, że, skoro strzelbę nabije się cząsteczką komunii św. i święconym ołowiem, natenczas broń, chociażby licha, strzela bardzo celnie.

Substytutem ś. p. dr. Tabaczyńs'iego mianowała lwowska Izba adwokacka adwokata dr. Godlewskiego.

Zniszczenie broni morderczej Luccheni'ego. W Genewie dokonany będzie wkrótce w obecności posła austryackiego i jego urzędników uroczysty akt zniszczenia pilnika, którym Luccheni zamordował Cesarzową austryacką, oraz narzędzi, użytych przez lekarza w hotelu Beaurivage, dla stwierdzenia wypadku. Dzieje się to zazwyczaj ze wszystkiemi broniami morderczemi, używanemi przeciw monarchom, a to z podwójnego powodu. Raz dla tego, że jakkolwiek byłyby starannie schowane, może się zdarzyć, iż wystawionoby je kiedy na widok publiczny, dla zadowolenia ciekawości ogólnej. Powtóre zaś istnieje przesąd, datujący się z XV-go wieku, że istnienie narzędzi, które posłużyły do zamordowania monarchów, może być groźnem dla ich potomków. Do zamachu na królową hiszpańską, Izabellę (w r. 1852), wszystkie podobno bronie mordercze były niszczone w ten sposób, że części drewniane palono, a metalowe rozbijano. Sztylet wszakże, użyty przez Merina na monarchinię hiszpańską, był taki twardy, iż oparł się wszelkim usiłowaniom zniszczenia i zniweczony został dopiero drogą chemiczną, przy pomocy kwasów gryzących. Odtąd zniszczona bywa w ten sam sposób każda broń, użyta przeciw koronowanej głowie; ostatni uległ temu losowi pistolet, z którego strzelano przed rokiem do króla greckiego.

U Szczepanika. Jeden z dziennikarzy polskich, dawny znajomy Szczepanika, odwiedził go tymi dniami w Wiedniu i opowiada o swojej wizycie w *Kuryerze Warszawskim* pomiędzy innemi, co następuje:

„Landstrasse, Ungargasse 12“.

Tak, to tu, W sieni na lewo wielkiemi głoskami wypisana firma: „Société des inventions Jan Szczepanik et Comp.“ więc nie ma wątpliwości co do mieszkania. Ale, czy go zastanę, dziś, w niedzielę? Kroczę na górę. Na drugiem piętrze dzwonię. Wychodzi jakiś przystojny brunet, wytwornie ubrany i objaśnia mię, że Szczepanika w domu nie ma, że prawdopodobnie jest na obiedzie, ale że on się może z nim porozumieć, bylem podał adres; przedstawiam się tedy, podając dla Szczepanika bilet wizytowy. Był to p. Habrich, spólnik Szczepanika.

Schodzę dwa pierwsze piętra do biur spółki, gdzie portyer pokazuje mi w ramach już stojącą tkaninę na jedwabiu, mającą około $1^1/_2$ metra wysokości i 1 metr szerokości, przedstawiającą hołd przemysłu, składany jubilatowi, Cesarzowi Franciszkowi Józefowi I, podług rysunku Rauchingera, stojącego w ramach naprzeciw. Istotnie rzecz to bardzo interesująca; tkanina nietylko nie ustępuje rysunkowi, ale w niektórych szczegółach plastyką go przewyższa tak, że nikt, patrząc na ten obraz, zwłaszcza w ramy ujęty, nie powiedziałby, że to tkanina. A przecież ma to być tylko próba; trzeci egzemplarz najlepszy, będzie gotowy dopiero jutro.

Wreszcie nadchodzi Szczepanik.

— Co za niespodzianka! — woła.

Zmienił się od czasu, gdym go widział ostatni raz przed kilku miesiącami u siebie w Krakowie, a zmienił się na niekorzyść.

— Coś mi pan nieszczególnie wygląda!...

— Niezdrów byłem, ale to już przeszło. No, proszę siadać.

— Co pan teraz porabia?

— Dużo i nic. Kończymy niektóre rzeczy, innych próbujemy. Ot, właśnie wykończyliśmy tkaninę jubileuszową. Dobrze, że to się już skończyło. A co to awantur było z urządzaniem warsztatu!“

Szczepanik z wielką gotowością oprowadzał gościa po swym domu i pokazywał mu najrozmaitsze przyrządy, modele nowych wynalazków, oryginalne urządzenia etc. I tak pokazał mu w kuchence nastawione baterye niewielkie, przy nich przenośnik, na ścianie dzwonek. Popróbowawszy drutów, Szczepanik nastawił na kuchni drugi przyrząd a na przenośniku, w oddaleniu może dwu metrów, dały się słyszeć pryskania iskier, jednocześnie zaś drutami połączony dzwonek na ścianie zaczął dzwonić.

— Słyszy pan, przeskakiwanie iskier czyli łączenie prądu i dzwonienie: Gdy ten aparat zasłonię dłonią — nie dzwoni. Gdy szkiełkiem zwykłem zasłonię, nie dzwoni? A jeśli użyję choćby zapałki... o proszę.. już znowu dzwoni. To ma związek i z telektroskopem i z nowym przyrządem, który ma zabezpieczać pociągi kolejowe od spotkania się.

— Jakto, ten przyrząd?

— Nie, nie ten, ale na jego podstawie stosownie zaopatrzone lokomotywy. Gdy lokomotywy zaopatrzymy w takie małe przyrządy, wtedy przy spotkaniu się na pewną odległość natychmiast automatycznie działające hamulce wstrzymają pociągi na miejscu.

— Ależ to rzecz doniosła!

— Zapewne, ale tu w Austryi trudno nam to próbować, bo nam nawet na godzinę nie chcą pozwolić doświadczenia z lokomotywą. W Anglii oddano nam całą linię do dyspozycyi i tam przyrządu spróbujemy.

Co do fotografii kolorowej, Szczepanik ma już opatentowany sposób do uzyskania negatywy kolorowej i kilka innych forteli.

Utonięcie. Bogaty włościanin z Tywonii w pow. jarosławskim Michał Misiąg, powracał tymi dniami pijany do domu. Po drodze wpadł w przedop, w którym była woda na 20 cm wysoko. Ponieważ nie mógł się o własnych siłach wydobyć, utonął. Śledztwo wdrożono.

Samobójstwo. W Przybówce w pow. strzyżowskim zastrzelił się wystrzałem z flobertu tameczny naczelnik stacyi, Antoni Schildenfeld, ojciec trojga dzieci, liczący lat 55. Powód nieznany.

† Ordynatowa Czarkowska Golejewska z domu Ru[illegible], zmarła wczoraj w Zagrobeli pod Tarnopolem. Pogrzeb odbędzie się jutro w Wysuczce w dobrach ordynackich.

Leka z oryginał. W Paryżu zmarł niedawno w 88 r. życia sławny lekarz, dr. Gruby. Specyalnością jego było leczenie neurastenii. Przepisywał on dla swoich pacyentów recepty w gruncie rzeczy bardzo pospolite, zalecał im ruch i hygieniczne życie, ale rady swoje zaprawiał zwykle pewną dozą fantastyczności i licząc na imaginacyę chorego, nakładał nań jak najuciążliwsze obowiązki, będąc pewnym, że w ten właśnie sposób spełni on co do joty te przepisy hygieniczne, któreby mu w innym razie były obojętne.

I tak prosiła go raz o poradę lekarską pewna dama z najwyższych sfer towarzyskich, która zrujnowała nerwy swoje życiem salonowem, nieprzespanemi nocami, tańcem i chciwością coraz silniejszych wrażeń.

— Udawaj się pani codziennie po południu — radził dr. Gruby — do szpitala Tenon i zapytaj się o dozorczynię X. Kobieta ta zaprowadzi panią do biało pomalowanego pokoju. Tam znajdziecie dwa krzesełka. Na jednem usiądzie ona, na drugiem pani. Tak siedzieć będziecie naprzeciw siebie przez całą godzinę, nie mówiąc ani jednego słowa. Potem powróci pani do domu przez taką a taką ulicę, przez taki a taki plac.

Pacyentka wyzdrowiała, wierząc odtąd silnie w władzę leczniczą ścian biało pomalowanych i cudowne działanie dozorczyni X. Gdyby dr. Gruby był jej przepisał zwykłe środki, np. spokój, spacery itd., nie byłaby w ich skuteczność uwierzyła.

Między swoimi pacyentami miał on pewnego bogatego bankiera, człowieka, który całe życie pędził przy biurku i był wielkim hipochondrykiem. Podczas konsultacyi wysłuchawszy długiego opowiadania o jego dolegliwościach, tak rzekł mu dr. Gruby po głębokiem zastanowieniu:

— Pańska choroba jest niesłychanie rzadka i przedstawia bardzo oryginalne komplikacye. Ale niestety zarazem jest ona bardzo trudną do wyleczenia, gdyż istnieje na nią tylko jeden, jedyny środek, ale który jest tak dziwnym, jak dziwną jest choroba Pańska.

Ujęty temi słowy pacyent, odrazu nabrał do dr. Grubego zaufania i zapewnił go, że bezwzględnie zastosuje się do jego wskazówek.

— Jedyną skuteczną kuracyą na Pańskie cierpienie jest kuracya mięsem ibisów, ono bowiem zawiera składniki, które muszą przejść w krew Pańską. Ale mięsa tego nie możesz Pan sprowadzać z Egiptu, gdyż skutkuje ono tylko wtedy, jeśli się je skonsumuje upieczone na węglach natychmiast

po zabiciu ptaka. Nie pozostaje Panu tedy nic innego, jak pojechać do Egiptu i polować samemu na ibisy. Pańskie szczęście, że ma pan jego środki finansowe pozwalają na to; gdybyś Pan był ubogim, musiałbyś Pan powoli umrzeć na tę straszną chorobę.

I ów bankier rzeczywiście wybrał się w podróż do Egiptu, najął liczną karawanę na której czele w pośród różnych przygód polował na ibisy, sam je piekł według wskazówek dr. Grubego a potem zajadał z wielkim apetytem, a po kilku miesiącach tej fantastycznej kuracyi wrócił do Paryża zdrowiuteńki jak ryba.

W analogiczny sposób wyleczył dr. Gruby innego pacyenta, nakazawszy mu codziennie chodzić na drugi koniec Paryża i tam w pewnej winiarni, której właściciela naturalnie najprzód o wszystkiem uprzedził, pić prosto z beczki utoczone wino specyalnego gatunku. Za pewien czas chory wyzdrowiał niebyle dzięki winu, co dzięki spacerom, które musiał codziennie robić na przestrzeni kilku mil.

Raz zgłosił się do dr. Grubego melancholik, cierpiący na strach przed samobójstwem, dręczony myślą, że przy pierwszej lepszej sposobności uczuje nieprzeparty pociąg do odebrania sobie życia.

— Na którem piętrze pan mieszka? — zapytał Gruby.

— Na parterze.

— Na którą stronę wychodzą okna?

— Na północno-wschodnią.

— Jakiej barwy mają pańskie tapety?

— Czerwone, brunatne i niebieskie.

— Dobrze. A zatem wyszukaj pan sobie mieszkanie na piątem piętrze z oknami ku południowo-zachodniej stronie i wytapetuj pan wszystkie pokoje na zielono; we każdy pokój w innym odcieniu.

Pacyent wyszedł pocieszony. Szukał przez trzy miesiące przepisanego mieszkania, szukał przez dalsze trzy miesiące przepisanych tapetów i przy tem długiem szukaniu zapomniał o chorobie.

Śmierć tego lekarza oryginała była równie dziwną jak jego życie. Na miesiąc przed zgonem zamknął się w pracowni swojej i kazał sobie potrawy i napoje podawać przez mały otwór w drzwiach wyrąbany, a zamykany od wewnątrz. Gdy wreszcie przez 24 godzin z rzędu nie dawał znaku życia, zdecydowano się drzwi wyłamać i znaleziono go leżącego bez życia w poduszkach ułożonych na ziemi. W pokoju panował nieład wprost nie do opisania. Kawały chleba i mięsa, stłuczone szklanki i dzbanki, podarte książki, rozprute pierzyny walały się na ziemi.

Tak ten pokój według zeznań służby wyglądał zawsze. A podobnie do pracowni była i sypialnia, zapchana stosami książek tak szczelnie, że przecisnąć się tam było trudno. Biblioteka Grubego złożona z 15,000 tomów wypełniała od posadzki do sufitów prawie całe mieszkanie dziwaka. W jego pokoju recepcyjnym były zaledwie dwa krzesła, nie założone książkami. A na nich siedziały żywe małpy, sroki i kanarki. Zaduch panował okropny. Mimo to, a może właśnie dla tego, dr. Gruby należał do najmodniejszych lekarzy w Paryżu. Najznakomitsi ludzie udawali się do niego po radę, a oryginał przepisywał im najdziwaczniejsze kuracye. Franciszek Liszt, obaj Dumasi, Henryk Heine, Chopin i Ambroise Thomas wierzyli w niego, jak w wyrocznię. Jeden tylko Dumas ojciec chciał mu podać terapii jego i wprost mu powiedział, że uważa przepisane środki za głupie.

Zakaz. Mieszkańcy Kuby, zwłaszcza mieszczanie pochodzenia hiszpańskiego, obrzucili się na rząd amerykański, który zakazał urządzania walki byków i walki kogutów. Jednocześnie rząd amerykański zamknął wszystkie domy gry w Hawanie. [illegible] nudną.

Ofiary. Zamiast rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych, nadesłali nam pp. Karol i Marya Walterowie z Przemyśla dla Głodnych dzieci 2 zł. i na odnowienie kościoła w Turce 1 zł.

Zmarli. W Tarnowie Franciszka z Witoskich Marcinowa, wdowa po kondukterze, lat 60.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano — 4, w poł. —4. Bar. 772. Podnosi się. Pochmurno.

Nieudany komplement.

— Panno Maryo, pani jest tak piękna... tak piękna... jak zachodzące słońce.

Fatalna poprawka.

— Te kolczyki otrzymałam od narzeczonego; wszak są piękne?

— Zapewne, tylko wydają mi się być małemi... naturalnie w porównaniu do uszu.

Repertuar teatru hr. Skarbka. We czwartek po raz 8gi „Zaza“, sztuka z życia teatralnego w 5 aktach Piotra Bertona i Karola Simon. W piątek „Zaza“. W sobotę z powodu wigilii Bożego Narodzenia teatr zamknięty. W niedzielę po południu (na dochód Tow. wzajemnej pomocy artystów sceny lwowskiej) „Szałaputy“, komedya w 4 aktach Kazimierza Glińskiego, wieczorem (na dochód Tow. wzaj. pom. artystów sceny lwowskiej) „Gejsza“, operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. W poniedziałek popołudniu „Czarodziej z nad Nilu“, operetka w 3 aktach Wiktora Herberta, wieczorem „Zaza“. We wtorek popołudniu „Chory z urojenia“, komedya w 3 aktach Moliera i „Lekka kawalerya“, operetka w 2 aktach Fr. Suppégo, wieczorem „Gejsza“. We środę „Zaza“. We czwartek „Zaklęty zamek“, operetka w 3 aktach K. Millöckera. W piątek „Zaza“. W sobotę popołudniu „Skąpiec“, komedya w 5 aktach Moliera, wieczorem „Rok 1898“, wielki przegląd sceniczny w 12 odsłonach.

Do dzisiejszego numeru dla Sz. prenumeratorów na prowincyi dołączamy okazowy numer „Małego Świata“, czasopisma ilustrowanego dla dzieci.

Literatura i sztuka.

Z teatru. Zaza, bohaterka granej wczoraj sztuki jest gwiazdą jednego z licznych francuskich teatrzyków variété. Z pośród wielu mecenasów podziwiających ją i przychodzących za kulisy teatru jeden szczególnie podobał się jej, nazwiskiem Alfred Dufresne. Pomimo początkowego chłodu z jego strony, podbija go Zaza i od tej chwili zaczynają się dla obojga szczęśliwe dni miłości. [illegible] Zaza przestała pracować na scenie, dowiaduje się ona z ust dawnego swego przyjaciela, aktora Cascarda, że w Paryżu mieszka piękna i młoda kobieta, którą Alfred kocha, a która prawdopodobnie musi być żoną jego. Zapowiedziany przez Alfreda wyjazd na kilkomiesięczny pobyt do Ameryki utwierdza Zazę w podejrzeniu, że to co mówił Cascard jest prawdą. Jedzie więc Zaza do Paryża i tam pod nieobecność Alfreda wchodzi do jego pomieszkania, [illegible] Z niepewności [illegible] wyprowadza Zazę zjawienie się [illegible] żony Alfreda. [illegible] i odjeżdża napowrót do Saint-Etienne. Mimo to wszystko kocha Zaza Alfreda tak jak z nim. Wmawia w siebie, że on może wprawdzie mieć żonę ale mimo to ją, Zazę, kochać najbardziej ze wszystkich kobiet. Ale gdy Zaza w przystępie zazdrości opowiada Alfredowi o swojej wizycie w Paryżu, a on wpada we wściekłość, zaś ona poznaje, że miłość jego dla żony i dziecka wyrasta wysoko po nad namiętność zmysłową, którą Alfred ją darzy. Rozchodzą się, on z żoną wyjeżdża do Ameryki, a ona zostaje „wielką artystką“. Po kilku latach spotykają się oboje w Paryżu i choć oboje nie zapomnieli o sobie i kochają się, jak mówią, nawzajem, postanawiają dla obopólnego dobra nie wznawiać dawnego stosunku.

Ta treść, przypominająca i ogólnym kolorytem i niektórymi szczegółami a nawet całymi scenami, niektóre znane już sztuki, posłużyła pp. Bertonowi i Simonowi do zlepienia miejscami więcej a miejscami mniej udałej całości, i przesunięcia przed okiem widza szeregu efektów scenicznych i z gruba rysowanych figur. Budowa sztuki jest bardzo nierówna. Najlepszym jest akt pierwszy i trzeci a najsłabszym i wprost niepotrzebnym jest akt piąty. Z poszczególnych scen, wybijają się na pierwszy plan, pijatyka za kulisami i kokietowanie Alfreda przez Zazę, w akcie pierwszym, następnie, walka psychologiczna Zazy w mieszkaniu Alfreda z aktu trzeciego a w końcu scena kłótni obojga w akcie czwartym. Z grubej szarzyzny w charakterystyce osób, tylko postać bohaterki opracowaną jest dokładniej. Widać w niej pewną ewolucyę od naiwnego zepsucia i lekkomyślności, do silnego, choć mocno zmysłowego uczucia a w końcu do zrozumienia swego położenia i rezygnacyi. — Bardzo słabo, jak na współbohatera nakreślonym jest Alfred, tak, że mimo ważnej roli, którą mu autorowie w sztuce przydzielili, snuje się on po scenie jak bezkostne i bezcielesne widmo. Lepszą jest trzecio-planowa postać chłodnego i rozumnego aktora Cascarta. Reszta figur to mniej albo więcej ruchome manekiny, znane nam już po większej części ze sceny.

Rolę tytułową grała pani Stachowicz i wywiązała się ze swego zadania bardzo dobrze o ile na to pozwalały warunki roli, nie całkiem przystające do indywidualności tej artystki. Pani Stachowicz jest zbyt liryczną i miękką, jako artystka aby jej z łatwością przyszło odtwarzać nagłość wybuchów tej nieobliczonej nawet dla siebie natury. Mimo to, choć znać było wysiłek, aby podołać zadaniu, zdołała pani Stachowicz, dzięki ogromnemu uczuciu i rozumnemu opracowaniu roli wydobyć na wierzch wszystkie jej akcenta i stworzyć z niej całość bardzo harmonijną. Przyczyniło się do tego w znacznej mierze złagodzenie zbyt może drastycznych ustępów aktu pierwszego, które w interpretacyi tej artystki wyszły w szacie bardziej powściągliwej i szlachetnej. Najlepiej wypadły, sceny dramatyczne z trzeciego aktu i gwałtownej walki wewnętrznej aktu czwartego. Przytem wyglądała wczoraj pani Stachowicz bardzo ładnie i olśniewała oryginalnością i dystynkcyą w doborze toalet. P. Woleński robił co mógł, a jeżeli to blado wypadło, to wina nie ze wszystkiem jest po jego stronie. Obok pani Stachowicz wysunęli się naprzód p. Fiszer w roli Cascarta i p. Gostyńska, jako matka Zazy. On doskonale podkreślał niewzruszony chłód wyziębionego życiem aktora, a ona nałóg pijacki i interesowność starej, zepsutej kobiety, wyzyskującej intratne stanowisko swej córki. Wymienić jeszcze wypada pp. Feldmanna w roli dyrektora orfeum i Walewskiego, jako jego reżysera. Reszta biorących w przedstawieniu udział aktorów grała dobrze przyczyniając się o ile tylko w danych warunkach było możliwem do stworzenia całości. Wystawa bardzo staranna a w piątym akcie wprost imponująca, ratowała także znakomicie sztukę, która w gorszych warunkach z powodu swej rozwlekłości, nie zdołałaby zająć publiczności przez przeszło cztery godziny. Teatr był pełny. *S. W.*

* **Królowa przedmieścia** doskonały wodewil p. Krumłowskiego (z muzyką p. Powiadowskiego) zgromadził wczoraj w sali „Sokoła“ liczną publiczność która się wybornie bawiła aż do godziny 11 wieczorem, darząc artystów hucznymi a zasłużonymi oklaskami. Największa ich część dostała się p. Ankiewiczowi za znakomicie odtworzoną rolę „zwierzynieckiego andrusa“ i za bardzo zręczne i dowcipne okolicznościowe kuplety, które na żądanie publiczności po kilka razy powtarzać musiał. Podobała się także ogólnie odtańczona w pierwszym akcie polka „Rachciachciach“ i mazur w akcie IV. Trupa p. Grodzickiego i Powiadowskiego zabawi u nas jeszcze kilka dni, a dziś i jutro daje znowu „Królowę przedmieścia“, kto więc chce kilka godzin spędzić wesoło i uśmiać się serdecznie, ten ma ku temu doskonałą sposobność.

Z izby sądowej.

Nowy Sącz, 21 grudnia,

(*Procesy o rozruchy*).

Wczoraj ukończył się tu trzeci proces o rozruchy w Starym Sączu. Oskarżonych było 54 osób. Siedmiu oskarżonych uwolniono, a resztę skazano na karę od trzech dni aresztu do jednego miesiąca więzienia.

Równocześnie skończył się proces o rozruchy w Parzynie. Z 25 oskarżonych dziewiętnastu wymierzono karę od pięciu dni aresztu do trzech miesięcy więzienia, zaś sześciu uwolniono. Poszkodowanych w obu wyrokach odesłano na drogę prawa cywilnego.

* * *

Lwów 22 grudnia.

(*Spór rzeźbiarza z architektem*).

Dziś w sądzie cywilnym rozpoczęła się rozprawa w sprawie głośnego sporu o projekt budowy muzeum przemysłowego we Lwowie między p. Leonardem Marconim rzeźbiarzem a p. Józefem Kajetanem Janowskim architektem. Trybunał składają p. radca Litwinowicz jako przewodniczący, oraz pp. Prokopowicz i Garfein.

Zastępca p. Marconiego, t. j. strony pozywającej, dr. Nussbrecher przedstawia pretensye swojego klienta w następujący sposób:

W roku 1889 kasa oszczędności rozpisała konkurs na szkice budowy muzeum przemysłowego we Lwowie. Jedną z trzech nagród na tym konkursie uzyskał p. Marconi i na tej podstawie otrzymał prawo brania udziału przy ściślejszym konkursie trzech odznaczonych na pierwszym konkursie szkiców. Wypracowawszy w ogólnych zarysach swój drugi projekt p. Marconi przedłożył go swemu przyjacielowi i powinowatemu p. Janowskiemu i pytał go o zdanie. P. Janowski, który wchodził w skład jury konkursowego, projekt ów pochwalił i przepowiedział, że niewątpliwie będzie przez komitet zaakceptowany. Ponieważ zwyczajem jest że autorowi projektu odszczególnionego poruczą się się kierownictwo budowy, przeto p. Marconi licząc na to, że to odszczególnienie jego spotka, a nie posiadając konsensu na samoistne kierownictwo budowlami, zaproponował p. Janowskiemu, aby z jury wystąpił, w wykończeniu projektu mu pomógł a potem razem z nim kierownictwo budowy objął. Kierownictwem tem mieli się oni podzielić w ten sposób, że p. Janowski miał prowadzić część konstruktywną przedsiębiorstwa i reprezentować je na zewnątrz jako technik koncesyonowany, a p. Marconi miał kierować częścią artystyczną. Umowa tedy istniała tylko co do ewentualnego kierownictwa budowy a nie co do projektu, w którym p. Janowski wypracował tylko więźbę dachów, a więc rzecz zupełnio podrzędną.

Ostatecznie jury przyznało pierwszeństwo projektowi prof. Byzanca, jako bardziej odpowiadającemu warunkom konkursu, oświadczyło jednak, że projekt p. Marconiego przewyższa tamten pod względem polotu artystycznego. Ale z postronnych przyczyn komitet zerwał z utartym zwyczajem poruczania jednemu z odznaczonych autorów projektów wykonania budowy i oddał tę budowę p. Janowskiemu, poleciwszy mu wypracować nowy projekt, wszakże na podstawie projektów odznaczonych. P. Janowski rzeczywiście wypracował nowy projekt niby oryginalny, będący jednak w rzeczywistości — jak twierdzi strona pozywająca — plagiatem p. Marconiego, który na tę okoliczność żąda przeprowadzenia dowodu przez znawców pp. Zacharyewicza i Hawryszkiewicza. Ponieważ budowa muzeum już rozpoczęta odbywa się według projektu p. Janowskiego, przeto p. Marconi jako współautor domaga się odeń przypuszczenia do udziału w kierownictwie i w zyskach na podstawie i umowy i tego, że ów trzeci projekt jest prawie zupełnie identyczny z drugim.

Zastępca strony pozwanej dr. Deskur prosi trybunał, aby przedewszystkiem powziął wyrok pośredni co do samej zasady sporu a on dopiero potem przystąpi do odpowiedzi na fakta przytoczone przez pozywającego. W sporze chodzi głównie o umowę między p. Marconim a p. Janowskim. Otóż umowa ta, która zresztą nigdy nie była ściśle określoną, nie posiada żadnych znamion potrzebnych do ważności umowy. Wedle bowiem §. 878 ustawy cywilnej każda umowa jest o tyle ważną o ile jej przedmiot jest fizycznie i prawnie możliwy.

Otóż co do pierwszego punktu, to rozdzielenie kierownictwa artystycznego od technicznego jest niemożliwem, a „kierownictwo artystyczne“ jest tylko pojęciem abstrakcyjnem. Całą budową może kierować tylko jeden człowiek, co potwierdzą niewątpliwie i znawcy. Gdyby więc trybunał wydał wyrok przychylny dla p. Marconiego, to wyegzekwowanie tego wyroku okazałoby się niemożliwem. Co do strony prawnej, to rzecz ma się tak, że umowa między kasą oszczędności a pozwanym dotyczy nie „przedsiębiorstwa kierownictwa budowy“, lecz jest zwykłym kontraktem najmu usług, a przecież nie można zastąpić jednej osoby najętej drugą osobą wbrew woli najmującego. Zachodzi tu jeszcze ta kwestya, że sąd, przyznając p. Marconiemu prawo do kierownictwa budową, postąpiłby wbrew ustawie przemysłowej, gdyż p. Marconi nie jest koncesyonowanym technikiem.

Sąd uchwalił na razie nie rozstrzygać tych kwestyi. Wobec tego dr. Deskur prostował fakta, przytoczone przez p. Nussbrechera. Twierdził, że projekt p. Janowskiego jest zupełnie samodzielny, gdyż tylko elewacye i fasady tj. rzeczy podrzędne są pomysłu Marconiego, natomiast profile, rzuty i fundamenta wypracował p. Janowski. Zresztą z dniem kiedy projekt prof. Byzanca zyskał pierwszeństwo, spółka została faktycznie rozwiązaną, gdyż w umowie nie przewidywano tej ewentualności, że komitet odda budowę komu innemu. Komitet zaś zastrzegł sobie wyraźnie swobodę decyzyi co do oddania kierownictwa budowy.

Wywody te odpierał dr. Nussbrecher twierdząc, że p. Janowski popełnił t. zw. *fraudem legis*. Jego projekt jest wprawdzie nowy pod względem prawnym, ale co do treści wewnętrznej pracą wspólną.

Rozprawa dalsza obracała się głównie około tego, że strona pozwana chciała przerzucić dyskusyę na pole prawnicze, podczas gdy pozywający kładł główną wagę na stronę artystyczną sporu.

Ostatecznie jednak pod naciskiem pytań członków trybunału przyznał p. Janowski, że spółka istniała nie tylko co do wypracowania drugiego planu, lecz także na wypadek gdyby komitet poruczył budowę, czy to Janowskiemu czy to Marconiemu na podstawie ich drugiego planu.

P. Janowski obstaje jednak przy twierdzeniu, że jego projekt jest całkiem samodzielny i odwołuje się podobnie, jak i p. Marconi do orzeczenia znawców. Wobec tego wspólnego życzenia obu antagonistów rozprawę odroczono i postanowiono oddać ocenę oryginalności 3-go projektu znawcom pp. Chołoniewskiemu i Zacharyewiczowi.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 20 grudnia.

(Z.). W miarę, jak zbliża się koniec miesiąca, zwiększają się dla spekulantów giełdowych trudności w uzyskaniu gotówki. Do dziś była ona w eskoncie prywatnym cokolwiek tańsza niż w banku austro-węgierskim, dlatego też rezerwy bankowe wzmocniły się cokolwiek, dziś atoli eskont prywatny był droższy od bankowego, wobec czego bardzo dużo weksli zgłoszono w banku do eskontu. Suma ich wynosiła 3½ miliona, podczas gdy spodziewany wpływ z zapadłych dziś weksli wynosił niespełna 700 000 złr. Zdaje się, że stosunek ten potrwa już do końca roku i że bank będzie znów zmuszony puścić w obieg opodatkowanych not za kilkanaście milionów. Trudność w uzyskaniu gotówki skłoniła dziś wielu spekulantów do rozwikłania swych zobowiązań, to też sprzedaży przeważały nad popytem i kursa obniżyły się. Ku końcowi obrotów nastała jednak nieznaczna repryza pod wpływem dobrych notowań berlińskich. Skorzystały z niej jednak tylko akcye kredytowe, Statsbahny i walory górnicze. Na kurs Statsbahnów dodatnio wpływały pogłoski, że tegoroczna dywidenda wyniesie przynajmniej 31½ franka od akcyi, a więc o 3 franki więcej niż w roku ubiegłym. Kurs Statsbahnów notowano dziś na 363.50. Pewna grupa spekulantów forsowała dziś w górę kurs akcyi fabryk papieru, mówiono bowiem, że zanosi się na kartel wszystkich fabryk papieru w Austryi i że głównym celem tego kartelu będzie ograniczenie produkcyi, która w ostatnich kilku latach przewyższała znacznie zapotrzebowanie i przez to wywołała spadek cen papieru. Tutejsza kasa oszczędności postanowiła udzielać odtąd pożyczek na zastaw obligacyi galicyjskiego banku krajowego i to zarówno na obligi hipoteczne jak komunalne i kolejowe.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 359.60, węgierskie 391·—, Anglobanki 155.25, Uniony 294·—, Bankvereiny 264·—, Länderbanki 232.40, Ludwiki 210.50, Czerniowieckie 294·—, Elbethale 259.75, Renta papierowa 101.05, srebrna 101·—, austryacka złota 120.05, austr. renta wal. kor. 101.45, węgierska złota 120·—, węgierska renta wal. kor. 97.70, dukat 5.70, 20 frankówka 9.55—, marki, 11.79, ruble 1.27½.

Ceny zboża. Wiedeń 21 grudnia. Pszenica na wiosnę 9.52—9.54; żyto na wiosnę 8.35—8.36; owies na wiosnę 6.13; kukurudza na maj-czerwiec 5.17—5.18. Spirytus 18.10—18.30. Usposobienie silne.

§ **Podatek osobisto-dochodowy.** Spodziewany dochód *brutto* z podatku osobisto-dochodowego preliminuje rząd na rok 1899 w sumie 22,425.800 złr., z tego potrąca kwotę 1,900.000 złr. na rozmaite odpisania i opusty w tym podatku tak, że pozostaje dochód *netto* 20,520.000 złr., tj. prawie o 4,800.000 złr. większy, niż tegoroczny, w tym roku bowiem preliminowano dochód z podatku osobisto-dochodowego tylko na 15,600.000 złr. Dochód z wszystkich podatków osobistych preliminuje rząd na rok następny na sumę 61,706.900 złr., a mianowicie: dochód z podatku zarobkowego na 16,402.500 złr., z osobisto-dochodowego na 20,520.000 złr., z podatku od towarzystw akcyjnych 19,600.000 złr., z podatku rentowego 3,620.000 złr., z podatku od wyższych poborów służbowych 400.000 złr., a z podatku od domokrążców 164.000 złr. Z tej ogólnej sumy 61,706.900 złr. zatrzymuje państwo na własne potrzeby 51,863.300 złr., na opust 10% w podatku gruntowym przeznacza 3,301.100 złr., na opust 10% w podatku od budynków 3,539.100 złr., a sumę 3 milionów przekazuje krajom na ich potrzeby — pozostanie więc jeszcze drobna nadwyżka 3.400 złr.

Jak rzekliśmy wyżej, preliminował rząd dochód z podatku osobisto-dochodowego na 20½ miliona, tymczasem więcej niż tę kwotę przyniósł ten podatek w pierwszym roku istnienia, t. j. bieżącym, jakkolwiek preliminowano go tylko na 15,600.000 złr. Zdaje się, że dopiero w roku 1900 nastąpi dalsze obniżenie podatku gruntowego jeszcze o 5% (na 15%) i podatku od budynków jeszcze o 2½% (na 12½%). Potrzeba będzie na to 3,200.000 złr. Jeżeli ponadto zostanie jeszcze zwyżka dochodów z podatku osobisto-dochodowego, to użytą zostanie przedewszystkiem na obniżenie podatku Towarzystw akcyjnych o ½% (z 10½ na 10%) — a dopiero reszta nadwyżki podzielona zostanie po połowie między państwo i kraje. W rezultacie więc trzeba czekać jeszcze co najmniej dwa lata na spełnienie programu finansowego, ułożonego przy uchwalaniu reformy podatkowej. Aż do tego czasu rezultatem tej reformy będzie wyższe obciążenie podatkowe.

Telegramy Przeglądu.

Budapeszt 22 grudnia. W liście otwartym do wyborców preszburskich oświadcza Szilagyi, że powodem jego wystąpienia z partyi liberalnej jest uchwała tej partyi z dnia 6 grudnia, którą *lex Tisza* uznaną została jako sprawa stronnictwa. Ten krok jest według niego bodźcem do najbardziej ostatecznej walki i nikt nie może z góry powiedzieć, czy, i na którym punkcie tej drogi można się będzie zatrzymać. Szilagyi nie może zgodzić się na to, żeby stronnictwo na przyszłość przyjmowało odpowiedzialność za wszystkie rozporządzenia rządu, wykraczające poza zakres jego władzy.

Budapeszt 22 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu przewodniczący Madarasz zaproponował, aby z powodu świąt nie było posiedzeń w sobotę, niedzielę i poniedziałek. Wśród wielkiego hałasu opozycya domagała się, aby także w piątek i we wtorek izba świętowała i żądała imiennego nad tym wnioskiem głosowania, oraz odroczenia głosowania do jutra. W myśl obowiązujących przepisów regulaminu przewodniczący istotnie odroczył głosowanie do jutra i zamknął posiedzenie. Także zapowiedziana przez dep. Pichlera interpelacya w sprawie Rumunów i Luegera została do jutra odłożoną.

Praga 22 grudnia. *Politik* donosi, że wczorajsze posiedzenie klubu młodoczeskiego było bardzo ożywione. Wielu członków klubu wyraziło niezadowolenie z tego powodu, że rząd dotąd jeszcze nie oświadczył stanowczo, czy zgadza się na wszystkie postulaty młodoczeskie. Interpelowano także ministra skarbu Kaizla w sprawie orędzia monarchy do sejmu czeskiego. Kaizl oświadczył, że nie jest w stanie podać dosłownie tekstu orędzia, może jednak zapewnić, że orędzie będzie zawierało także ustęp autonomiczny.

Budapeszt 22 grudnia. Mikołaj Esterhazy, jeden z przywódców katolickiej partyi ludowej, wystosował do prezydenta tej partyi list otwarty, w którym ostro potępia obstrukcyę twierdząc, że ona podkopuje mocarstwowe stanowisko monarchii.

Liberzec 22 grudnia. Niemieckie towarzystwo ludowe w Gablonz zostało przez rząd rozwiązane.

Wiedeń 22 grudnia. Dziś przed południem odbyło się nadzwyczajne walne zgromadzenie „Austro-węgierskiego banku“. Kurator Kautz podał do wiadomości, jakie fundacye utworzył bank z powodu jubileuszu cesarskiego. Zgromadzenie przyjęło to sprawozdanie. Następnie przyjęto wniosek o prowizoryum bankowem do 30 czerwca 1899. Akcyonaryusz Frankl zapowiedział, że na najbliższem zwyczajnem zgromadzeniu banku wystąpi z opozycyą przeciw definitywnemu układowi z rządem węgierskim.

Waszyngton 22 grudnia. Jeneralny komendant Filipinów, jenerał Otis otrzymał instrukcye, trzymane na razie w tajemnicy. Jak słychać, polecono mu uspokoić ludność zapewnieniem, że Amerykanie rządzić będą w duchu sprawiedliwości, uszanują prawa obywateli, zniosą dotychczasowe wygórowane podatki i pozostawią urzędników na ich posadach.

Budapeszt 22 grudnia. Na dzisiejszem posiedzeniu po krótkiej dyskusyi formalnej nad wczorajszem postępowaniem prezydenta Madarasa, przystąpiono do imiennego głosowania, czy jutro ma być posiedzenie.

Londyn 22 grudnia. Pensylwan Steel Company otrzymała od rządu rosyjskiego zamówienie na 80 000 ton szyn stalowych dla kolei syberyjskich. Szyny mają być dostawione w ciągu lat dwu do Władywostoku.

Konstantynopol 22 grudnia. Wczoraj wieczorem Hafi basza, wyższy urzędnik prefektury w publicznym lokalu zastrzelił Gani beja, adjutanta sułtana, znanego z okrucieństw.

San Remo 22 grudnia. Jak donosi tutejszy *Matino*, bankierzy włoscy zamierzają utworzyć tu bank dla gry hazardowej, który ma konkurować z bankiem w Monaco.

Wiedeń 22 grudnia. Jak twierdzi *Pol. Correspondenz*, rezultatem antianarchistycznej międzynarodowej konferencyi, odbytej w Rzymie, będzie prawdopodobnie utworzenie międzynarodowego biura policyjnego przeciw anarchistom.

Wiedeń 22 grudnia. Według doniesień dzienników, Cesarz jutro przed południem udzieli ostatnich audyencyj przed świętami, w piątek zaś, 23 b. m. uda się do Wallsee, gdzie przepędzi święta wraz z córką swą arcyks. Waleryą.

Londyn 22 grudnia. Dla obmyślenia środków celem zwalczania suchot odbyło się wczoraj w Marlborough House pod przewodnictwem księcia Walii zgromadzenie, w którem wzięli także udział Salisbury, lord Rosebery i inne wybitne osobistości. W ciągu obrad odczytano list pewnej firmy południowo-afrykańskiej, która objawia gotowość wybudowania w Londynie wielkiego sanatoryum dla suchotników kosztem 20 000 funtów szterlingów. Ofiarę tę przyjęto hucznymi oklaskami.

Wiedeń 22 grudnia. *Neues Wiener Tagblatt* donosi, że w Opawie rozeszła się pogłoska rzekomo całkiem pewna, że prezydent tamtejszego sądu krajowego otrzymał już rozporządzenia językowe, przeznaczone dla sądów szlązkich.

Berlin 22 grudnia. Profesora Delbrücka powitała przy rozpoczęciu wczorajszego wykładu na uniwersytecie licznie zgromadzona młodzież uniwersytecka z ogromnym zapałem.

Rzym 22 grudnia. Ks. Abruzzów, odbywający obecnie podróż po Syberyi, został przez cara zaproszony, ażeby go w powrocie stamtąd w Petersburgu odwiedził.

Londyn 22 grudnia. Rozmaite wybitne pisma wszystkich stronnictw prowadzą w dalszym ciągu propagandę na korzyść poprawy stosunków anglo-rosyjskich.

Rzym 22 grudnia. Izba deputowanych przyjęła jednomiesięczne prowizoryum budżetowe dla tych gałęzi budżetu, których załatwienie w senacie do 31 grudnia b. r. okazało się niemożebnem, następnie odroczyła się do 25 stycznia p. r.

Suda 21 grudnia. Książę Jerzy grecki przybył tutaj. Następnie odbył podróż do Kanei, gdzie odbyło się stosownie do programu uroczyste wprowadzenie księcia na stanowisko generalnego komisarza Krety wśród entuzyastycznych objawów ze strony ludności. Książę Jerzy prosił admirałów, aby wyrazili swoim rządom podziękowanie za okazane mu zaufanie. Z powodu przybycia ks. Jerzego do Kanei ogłoszono dzień wczorajszy i dzisiejszy jako dnie świąteczne.

Konstantynopol 21 grudnia. Sułtan podarował wielkiemu księciu Mikołajowi konia arabskiego.

Rzym 21 grudnia. Według dziennika *Italie*, zakończyła konferencya przeciw anarchistom swoje obrady, a członkowie jej podpisali protokół.

Wiedeń 22 grudnia. Z Opawy donoszą, że tamtejsza rada miejska uchwaliła wczoraj rezolucyę, wyrażającą niezadowolenie z upaństwowienia prywatnego gimnazyum czeskiego w Opawie.

Londyn 22 grudnia. *Times* otrzymał z Waszyngtonu wiadomość, że komisya wojskowa Izby reprezentantów uchwaliła głosować za powiększeniem stałej armii regularnej w Ameryce północnej tak, aby ta w czasie pokoju liczyła 100.000 ludzi.

Lwów 22 grudnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 209.50 do 212.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 293.00 do 296.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 375 — do 385.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205.— do 212.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 256·— do 261.—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 208.50 do 211.00.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat z 10 proc. prem. 110.00 do 110.70. 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.00 do 100.70, 4 proc. los. w 60 lat 96.50 do 97.20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.90 do 101.60. Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisye) 97.30 do 98.00, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.30 do 98.00. 4 proc. los. w 56 lat 94.90 do 95.60.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.50—98.20, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.30 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do 98·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 104·00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 96.90 do 97·60. 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 94.20 do 94.90.

Monety. Dukat cesarski 5.66 do 5.76. Napoleondor 9.53 do 9.63. Półimperyał 9.51 do 9.61. Rubel rosyjski papierowy 127.10 do 128.10. 100 marek niemieckich 58.80 do 59·20.

Wiedeń 21 grudnia. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 360.00, węgierskie akcye kredytowe 391.50, anglobanku 155.50, bankvereiny 263.50, unionbanku 293.00, laenderbanku 237·—, staatsbahny 364·75, lombardy 64·—, elbethale 260.00, akcye tytoniowe 124.50, rima 291·50, alpiny 200·50, renta majowa 101.15, renta koronowa węgierska 97.75, losy tureckie 58.10, marki 59·01, ruble —.—.

40)

REGINA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

JULIUSZA LERMINA.

(Ciąg dalszy).

Kawaler Blache — on to był bowiem — dochowywał święcie obietnicy, danej markizie de Luciennes. Kogo tylko mógł, pytał o wicehrabiego de Lorys, ale nikt z zagadniętych nazwiska tego nie znał, nawet żołnierze, przybyli świeżo do Paryża. Zdarzyło mu się nieraz usłyszeć odpowiedź ostrą. Znosił wszystko cierpliwie i rozpytywał dalej.

Człowiek, którego w oknie spostrzegł, a który tak głośno objawił swoje uczucia dla króla, był to kapitan Laverdière.

Zbytecznem chyba dodawać, iż to indywiduum nie cieszyło się wcale sympatyami kawalera Blache. Nie wiedział on o jego ostatnich sprawkach, słyszał jednak o zajściu na podwórzu pocztowem i o wynikłym z tego pojedynku. Przyszło mu na myśl, że od Laverdièra może się czegoś dowiedzieć. Gotów był użyć ku temu wszelkich podstępów. Zdecydowawszy się zatem wkroczył do „świątyni".

Kapitan, sprawiwszy efekt pożądany, cofnął się już od okna i trącał kieliszkami z wesołą kompanią, która wznosiła jego zdrowie, objawiając tem zadowolenie z okrzyku na cześć króla.

Laverdière, od czasu jakiśmy go widzieli po raz ostatni, nabrał wielkiej fantazyi. Rany, odniesione w służbie p. de Bourmont, uczyniły z niego bohatera: drużyna „wiernych" przyjęła go odrazu w swój poczet. Dostał nietylko nowy mundur, ale wszedł w nową skórę.

Przybywał oto teraz do Paryża, aby zabiegać o nagrody i odznaczenia, pragnął korzystać z pierwszych wybuchów radości, otwierającej serce na oścież, wyzyskać wdzięczność, póki jeszcze nie ostygnie. W oczekiwaniu na powrót króla-zwycięzcy, Laverdière czas sobie uprzyjemniał.

Podnosił właśnie do ust szklankę ponczu, gdy ujrzał zbliżającego się ku sobie człowieka nikłej powierzchowności. Kawaler uśmiechał się już zdala.

Mentor Lorysa nie był tchórzem, swego czasu służył nawet w gwardyi, ale w tej chwili chodziło mu o zwycięstwo na drodze zupełnie pokojowej, wiedział bowiem, że inaczej nic nie wskóra.

Laverdière spojrzał zuchwale na niepozorną figurkę... budziła w nim jednak jakieś wspomnienia... Gdzie też ją widział? Ach prawda, u markizy de Luciennes, która człowiekowi temu okazywała nawet pewne względy. A właśnie markiza od zajścia we Florennes zdawała się unikać Laverdièra, co go przejmowało niepokojem, gdyż na jej protekcyę liczył najbardziej.

— Wszak mam przyjemność z p. de Laverdière? — rzekł kawaler uprzejmie.

Kapitan chciał zaprzeczyć, wymienić swoje obecne nazwisko, ale tamten mu przerwał:

— Czy mogę pana prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi? — rzekł.

— Jestem mu potrzebny! Doskonale się składa — pomyślał awanturnik.

Wskazał nowoprzybyłemu miejsce obok siebie na aksamitnej ławce.

— Jestem do usług pańskich — oświadczył.

— Wszak mnie pan poznaje?

— Jako jednego z wiernej drużyny pani...

Szepnął mu na ucho nazwisko markizy.

— Istotnie, zaliczam się do jej sług wiernych i po części nawet w jej imieniu do pana się udaję.

— W takim razie rozporządzaj pan moim czasem i moją osobą. To serce — mówił, uderzając się po klatce piersiowej — to serce możesz pan na wszelkie wystawiać próby.

— Chodzi o drobnostkę, o pewną informacyę, której pan mógłbyś nam łatwiej od innych udzielić.

— Słucham.

— Muszę pana jednak uprzedzić, że wymienię osobę, z którą pan miałeś zbrojny zatarg, spodziewam się jednak, żeś już urazy zapomniał.

— Mój kochany kawalerze — zawołał awanturnik z przechwałką — gdybym żywił urazę do tych wszystkich, których poturbowałem w mojem życiu, nie starczyłoby mi pamięci do zachowania ich nazwisk.

— Ręczę jednak, żeś pan nie zapomniał nazwiska, ani osoby, którą wymienię.

— Mów pan. Słucham.

— Idzie mi o wicehrabiego de Lorys.

Laverdière wychylił do dna szklaneczkę, czerpiąc w niej fantazyę.

Był to właśnie jedyny z przeciwników, którego nie mógł wspomnieć obojętnie. Po trzykroć z nim się ścierał, miał go na końcu swej szpady, a za każdym razem odniósł rany, upokorzenie lub zniewagę. Był to już nie przeciwnik, ale wróg śmiertelny.

Laverdière głośno odkaszlnął, dla nabrania otuchy.

— O tak, przypominam sobie — rzekł z obojętnością udaną, — więc chcesz pan mówić o tym zacnym młodzieńcu?

Pomimo wrodzonej przenikliwości, kawaler nie uchwycił zawiści w tonie, gdyż o niej Laverdièra nie podejrzywał, nie wiedząc o zajściach przy ulicy del'Eperon i we Florennes.

— Cieszę się, że pan o nim tak myśli — rzekł — gdyż p. de Lorys był moim uczniem i kocham go serdecznie. A przyznam się panu, że jestem o niego niespokojny. Nie wiem, czy panu wiadomo, że wicehrabia de Lorys opuścił sztab p. de Bourmont we Florennes.

— Wiem i to dotkliwie — pomyślał Laverdière — mamy ze sobą o to niezałatwiony rachunek.

— Nie moją rzeczą sądzić go — mówił dalej kawaler — wiek już do pobłażliwości mnie skłania. Dowiedziałem się, że powodując się zbytecznemi może skrupułami, zapragnął spełnić co do joty, to, co za swój obowiązek poczytywał: widziano go pod Waterloo, potem w rozproszonych szeregach, odnaleziono ślad jego aż do Genappe, ale tu zaginął. Nie mamy żadnych o nim wieści, może został ranny, może poległ... wypytuję każdego, kto mógł go widzieć, o nim słyszeć... i dlatego zwróciłem się do pana. Usłyszawszy pański okrzyk...

— Niech żyje król! Powtarzać to będę do ostatniego tchnienia! — przerwał mu Laverdière.

— Otóż poznałem pana po głosie i z twarzy i rzekłem sobie: kapitan Laverdière zna wielu ludzi; przez niego lub jego przyjaciół będę mógł zasięgnąć informacyj o swoim pupilu. Udzielając ich, oddałbyś pan wielką usługę, nietylko mnie, ale i osobie, która wdzięczną była mnie.

Kawaler zanadto się rozgadał, za dużo powiedział.

Laverdière domyślił się odrazu, że przez usta jego pyta kto inny, wiedział bowiem o bliższym stosunku markizy do Lorysa.

— Czemu pan ze mną nie jest szczerym? — rzekł mrugając znacząco. — Przyznaj pan odrazu, że przybywasz z polecenia pani de Luciennes.

— Ależ...

— Rozumiem o co chodzi. Markiza poróżniła się na śmierć z tym chłystkiem — dla którego prawdę mówiąc sympatyi nie żywię — otóż markiza, w obawie, aby się nie zjawił w chwili niestosownej, pragnie się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Kawaler wytłómaczył sobie, że przypuszczenia Laverdièra powinny mu być obojętne, że może nawet lepiej, aby się nie domyślał uczuć Reginy.

— Mój drogi kapitanie — rzekł wymijająco — nie mogę panu domysłów zabronić... główna rzecz, czy wolno mi liczyć na pana?

...Co za traf szczęśliwy! Laverdière, sam przez się byłby może pomyślał o wyszukiwaniu Lorysa, gdy jednak zdarzała się tak wyborna sposobność, postanowił skorzystać z niej skwapliwie. Oświadczył zatem gotowość do usług i podjął się wynaleźć Jerzego.

— Wiele to panu zajmie czasu? — pytał kawaler.

— Parę godzin zaledwie — brzmiała odpowiedź.

— Sądzisz pan, że jutro rano...

— Tak, z wszelką pewnością będę już prawdę wiedział.

— Gdybyś pan powziął informacye pewne i stanowcze, to zechciej stawić się jutro rano w pałacu pani de Luciennes. Oczekiwać tam będę na pana — rzekł po namyśle kawaler, pragnąc, o ile możności, skrócić udręczenia i niepokoje Reginy.

— Więc pani markiza już wróciła? — podchwycił Laverdière.

— Tego nie powiadam. Staraj się pan wywiązać dobrze z misyi, a sądzę, że tego nie pożałujesz.

— Zatem do jutra! — rzekł Laverdière — racz pan nie wątpić w mojej bezgranicznej gotowości do usług dla pani de Luciennes.

Kawaler był zadowolony ze swego pomysłu i pewien, że ów zbir lepiej niż ktokolwiek potrafi Lorysa wytropić, pożegnał go więc i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Włoszech. Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka Hotel George.